

GŁOS POLONII

Pismo Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema na Węgrzech



Dodatek
miesięcznika
POLONIA WĘGIERSKA



ROK XVI (XXXIII)
wrzesień 2002 r.

Nr 70

WYBORY



NOWELA



BARWNE STRONY



MAGYAR NYELVŰ CIKKSZEMLE

SPISEM SKURCZONA POLONIA



■ Dla wielu z nas wyniki ostatniego spisu powszechnego na Węgrzech są zapewne dużym zaskoczeniem. Otóż spis ten wykazał, że mniejszość polska liczy tu zaledwie 2962 osoby!!! Wcześniejsze dane szacunkowe mówiły przecież o 10-12, a w co śmielszych szacunkach nawet o 15 tysiącach mieszkańców polskiego pochodzenia. Gdzie się więc podziała ta wielotysięczna Polonia?

Za mało prawdopodobne uważam, aby tak liczna grupa polonusów wyparła się polskiego pochodzenia, choć pojedynczych przypadków nie da się wykluczyć. A może

się mylę. Może są jakieś przyczyny dla których polonusi masowo odcięli się od swego pochodzenia? Nierozeczność tak sądzić! Pozostaje więc raczej wersja nierzetelnego wykonania pracy przez osoby spisujące. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że słyszałem o pominięciu zapytania o narodowość, zwłaszcza w przypadku kobiet, które noszą po mężu typowo węgierskie nazwiska. Doszły też do nas słuchy o dokonywaniu spisu w karczmie, gdzie może nie bawiono się w mało istotny dla spisującego szczegół, jakim jest narodowość. Wreszcie, o nierzetelności świadczyć może fakt, iż

spis wykazał tylko 190 tysięcy Romów! Tak, czy inaczej do kolejnego spisu powszechnego (za 10 lat) oficjalnie będzie nas mało!

Coż, Polonio węgierska! W powszechnym spisie „skurczyłaś się” jak w praniu. Pozostałmy jednak w przekonaniu, że jest nas tu o kilka tysięcy więcej, niż wykazali „spis(k)ujący”.

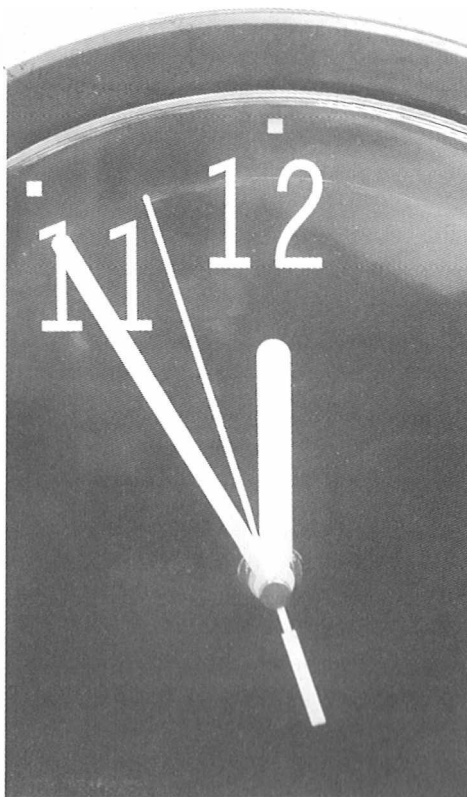
A póki co aktualnie stoimy przed dwoma ważnymi wydarzeniami: pod koniec października będą wybory do samorządów, w tym mniejszościowych (str. 2) oraz ma otworzyć swe podwoje Dom Polski (str. 12)

PRZED WYBORAMI

■ Polacy żyją na węgierskiej ziemi od niemal tysiąca lat. Częste były polsko-węgierskie związki dynastyczne już od Arpadów i Piastów począwszy. Wielu Polaków przybywało tu niejednokrotnie, by pomóc Węgom w ich walkach z wrogami: Turkami czy Habsburgami. W XVIII wieku powstała nawet polska wieś Derenk, gdzie osiedliło się wielu górali z okolic Sącza. Od drugiej połowy XIX wieku tysiące Polaków znajdowało pracę w kamieniołomach i rozwijających się zakładach przemysłowych Budapesztu, Taty, Tatabányi i innych miast.

A potem była II wojna światowa, podczas której niemal 140 tys. Polaków cywilnych i wojskowych na czas krótszy czy dłuższy znalazło schronienie na Węgrzech. Niektórzy z nich pozostali tu na stałe. W ostatnich natomiast dziesięcioleciach modna stała się tzw. emigracja serc.

Wszystkie te czynniki dały korzenie mniejszości polskiej na Węgrzech. Dotychczas podawało się liczbę ok. 10-12 tys. ludzi polskiego pochodzenia. Przeprowadzony na początku tego roku spis powszechny wykazał jednak niespełna trzy tysiące osób przyznających się do pochodzenia polskiego. Jest to tym bardziej



dziwne w sytuacji, gdy zbliża się termin wyborów do samorządów mniejszościowych, których zainicjowano na terenie

całego kraju aż 56 (w obecnej kadencji było ich 32), często w takich nawet miejscowościach, gdzie wg spisu nie ma ani jednego mieszkańca przyznającego się do polskiego pochodzenia, związków z kulturą polską, czy choćby tylko władającego w niewielkim nawet stopniu językiem polskim. Wielu z nas zdaje sobie sprawę z niedostatków spisu, na własnej skórze mogło się przekonać, że najczęściej bez naszej interwencji nawet nie zapytano by nas o przynależność do mniejszości.

Tak czy inaczej np. w komitacie Borsod-Abaúj-Zemplén zostało zainicjowanych aż 16 samorządów mniejszości polskiej, a ze spisu wynika, że w siedmiu miejscowościach nie ma ani jednego mieszkańca, który by się przyznawał do pochodzenia polskiego czy związków z naszą kulturą.

W Budapeszcie zainicjowano samorządy w 16 dzielnicach, a więc w I, II, IV, V, VII, VIII, X, XI, XIII, XIV, XV, XVI, XVII, XVIII, XIX i XXI. Gwoli ciekawości podam, że najwięcej osób przyznających się do polskiej narodowości żyje w II, IV, X, XI, XIII, XIV i XVIII dzielnicach. Obawiam się jednak, że na radnych do samorządów szykują się i ludzie, którzy akurat z naszą mniejszością nie mają nic wspólnego.

Koniec etnobiznesu?

■ Do październikowych wyborów węgierskich samorządów terenowych i mniejszości narodowych akces założenia lokalnego samorządu mniejszości złożono w 1962 miejscowościach i dzielnicach dużych miast. Oznacza to wzrost o ponad 40%.

Nie jest inaczej w przypadku inicjatyw podjętych w imieniu mniejszości polskiej. Przed ewentualnym zagrożeniem dalszej eskalacji etnobiznesu – na takowe wskazywałem w poprzednim numerze – podejmując próby poszczególne mniejszości i... wreszcie, po wielu latach, dostrzegła je administracja państwowa.

Specjalny kodeks etyki wyborczej opracowali Słowacy i Chorwaci. Potrzebę przyjęcia takiego lub podobnego kodeksu przez wszystkie mniejszości widzą Ormianie. My postawiliśmy na rekomendację kandydatów przez komisję z udziałem polskich organizacji społecznych, Stowarzyszenia Bema i Stowarzyszenia pw. św. Wojciecha.



Szkoda, że nie doszło do pełnego konsensusu w tej sprawie. (Widać, nie wszyscy chcą wyciągnąć prawidłowe wnioski z dwóch poprzednich kadencji.)

O podjęciu walki z etnobiznesem i innymi przejawami nieprawidłowości w zbliżających się wyborach wypowiedział się na łamach dziennika „Magyar Nemzet” prezes Urzędu Mniejszości Narodowych i Etnicznych, Antal Heizer: „...w tym roku ze znacznie większymi szansami będziemy mogli podjąć walkę z tymi, którzy powstającą w wyborach powszechnych instytucję samorządności mniejszościowej chcą wykorzystać dla osobistych zysków materialnych.” „...bardzo zdecydowanie pragniemy postępować wobec tych samorządów mniejszościowych, na które padnie jakkolwiek cień podejrzenia o etnobiznes.”

Innym powodem „wstrzemięźliwości” etnobiznesmenów może być – zdaniem Antala Heizera – tekst przysięgi, w której składający ją mają jednoznacznie określić swą przynależność narodową.

Czy wymienione tu instrumenty spowodują wykorzenienie etnobiznesu? Osobiście mam co do tego wątpliwości, co najwyżej mogą one spowodować wyhamowanie pędu tego procesu. Ostateczną odpowiedź powinny nam dać wyniki wyborów, a zwłaszcza działalność utworzonych samorządów.

Jerzy Królikowski

W hołdzie bohaterom



■ 1 września – data wybuchu II wojny światowej światowej jest już na szczęście dla coraz większej ilości mieszkańców naszego globu datą abstrakcyjną, nauczaną co najwyżej na lekcjach historii. I wśród naszej Polonii wielu z nas tamte czasy zna tylko z opowiadań. A mimo to staramy się o tym nie zapomnieć, zwłaszcza że wówczas okazało się, iż w tych tragicznych chwilach my Polacy nie jesteśmy sami, że możemy liczyć na przyjaciół Węgrów.

I chociaż z byłych uchodźców polskich na Węgry w czasie II wojny światowej żyje już bardzo niewiele to jednak pamiętać o tych, którzy nam wówczas pomagali staramy się pielęgnować i podtrzymywać. Co roku już od wielu, wielu lat w dniu 1 września z inicjatywy działaczy Stowarzyszenia Bema spotykamy się przy grobie dr. Józsefa Antalla seniora, aby złożyć hołd temu wielkiemu człowiekowi, który nie tylko z racji stanowiska zajmował się jak najlepszy ojciec polskimi wojennymi uchodźcami cywilnymi. Tak było i w tym roku. W uroczystości składania wieńców wzięła licznie udział, poza przedstawicielami naszej Polonii, także rodzina zmarłego. Okolicznościowe przemówienie wygłosił ambasador RP Rafał Wiśniewski, a ks. proboszcz Zbigniew Czerniak odmówił modlitwy.

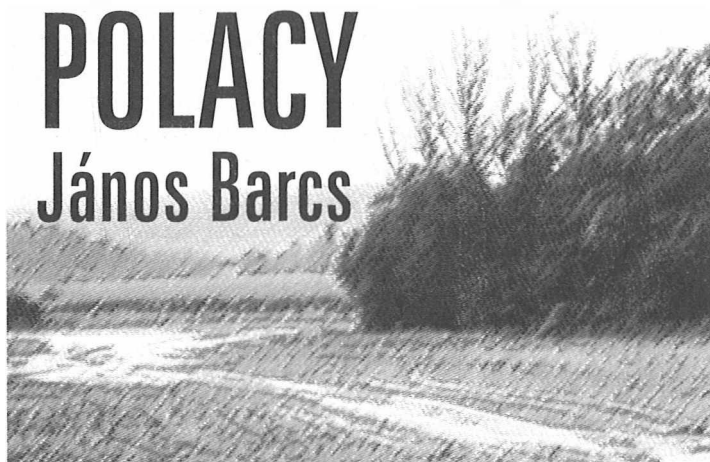
Przy grobie wojennego opiekuna Polaków odczytany został apel OSMP o zbiórkę pieniężną na tablicę pamiątkową

dr. Józsefa Antalla, która zostanie wmurowana w ścianę domu, w którym mieszkał do końca swego życia.

A później przenieśliśmy się do grobu płk. Zoltána Baló, któremu podlegali uchodźcy wojskowi. I tu, po raz pierwszy, w spotkaniu przy mogile wzięła udział również rodzina zmarłego. Jakże wzruszający był moment spotkania się krewnych obu wielkich zmarłych, którzy tak wielką rolę odegrali w życiu wielu Polaków, przybyłych na gościnną Ziemię Węgierską w tych tragicznych dla naszej Ojczyzny chwilach. Tu ambasador poinformował nas o zbliżającej się uroczystości wmurowania tablicy poświęconej pamięci tego przyjaciela Polaków.

Redakcja nasza otrzymała od Jánosa Barcsa (1927) – poety i pisarza jego najnowszą dwujęzyczną książeczkę zatytułowaną „Polacy”, w której zamieszcza trzy nowele z czasów II wojny światowej i lat powojennych na temat przyjaźni węgiersko-polskiej. Ponieważ pisarz prosił nas o jej rozpowszechnienie wśród polskich czytelników, poniżej zamieszczamy tekst tytułowej noweli. Przyjmijmy jego pracę jako hołd bohaterom II wojny światowej.

POLACY János Barcs



■ Była chłodna, zwiastująca nadejście zimy, jesień. Niewiele ludzi chodziło po ulicach, tylko przed urzędową jatką mięsną kilka kobiet w czarnych chustkach i ciemnych spódnicach chodziło tam i z powrotem.

Nad rzeką Drawą nisko latały ogromne samoloty wojskowe.

Oczekujące kobiety wyszły spod starych kasztanów i trzymając dłonie na czole ze strachem patrzyły za odlatującymi samolotami.

– Czekają nas ciężkie dni – zauważyła jedna z nich, a inne jedno myślą przytaknęły.

Gdy tylko otrzymały mięso wołowe, każda ruszyła w swoją stronę. Kosticzowa pospiesznymi krokami szła bokiem kamienistej ulicy, doganiając na rogu Annę Horváth, pannę w ciąży.

– Dzień dobry, moja Annuszko. Dawno cię nie widziałam.

– Dzień dobry, pani Kosticzowa. Jak to dobrze, że się spotykamy – słumiła głos – Czy pani słyszała?

– Co? Co miałabym słyszeć, moja droga?

– Jutro wieczorem czekamy we wsi na polskich uchodźców. Mają ich zakwaterować w domach, tam, gdzie zechcą ich przyjąć. Może

i do mnie skierują jakichś. Słyszałam, że Polacy to eleganccy, przystojni ludzie.

– Możliwe, że masz rację, moja Annuszko – powiedziała Kosticzowa starzejącej się już, ciężarnej dziewczynie.

Długo jeszcze rozmawiały, a potem rozeszły się na kościelnym placu. Kosticzową minął pomocnik wójta, który postawił swój rower na rogu ulicy przy płocie. Umieścił przed sobą obciążony psią skórą bęben i zaczął uderzać w niego werblami. W okolicznych niskich domach pootwierały się drzwi i okna.

– Po pierwsze! Urząd gminy podaje do wiadomości szanownych mieszkańców, że kto jeszcze do tej pory nie zapłacił podatków, niech to czym prędzej uczyni!

– Po drugie! Psy, za które nie zapłacono podatków, zostaną w ciągu 48 godzin zastrzelone.

– Po trzecie! Każdy mieszkaniec, który posiada jakikolwiek rower, męski czy damski, albo motocykl, powinien go jutro z powodu spisu pokazać odpowiedniej komisji na podwórku urzędu gminy. Zaniedbanie tego obowiązku będzie karane.

– Po czwarte! Ci mieszkańcy, właściciele domów, którzy zechcą przyjąć polskich uchodźców, zakwaterować ich i wyżywić, niech zgłoszą się w urzędzie gminy u notariusza Takacsa. Dalej: kto złoży urzędowe zobowiązanie, zostanie wciągnięty na listę. Za zakwaterowanie i całodzienne wyżywienie (śniadanie, obiad, kolacja) urząd gminy będzie płacił jednego pengő za dzień, a kwota ta będzie wypłacona w końcu każdego tygodnia. Środki czystości i ręczniki uchodźcy muszą mieć własne.

Pomocnik wójta głośno zabębnił. Grupa dzieci prowadziła go dalej. Zatrzymali się na skraju osady, gdzie znów uderzył werblami w bęben.

Za jego plecami w obozie cygańskim kobiety w pstrokatych spódnicach gotowały obiad w trójnożnych żeliwnych garnkach. Mężczyźni w w żółtych kapeluszach kładli na ogień suche gałęzie i surowe żerdzie.

Pod akacjami na skraju obozu cygańskie konie zwieszając głowę gryzły suche siano. Czasami podnosiły łby i patrzyły na ludzi stojących koło ognia.

Ponad obozem cygańskim wił się szary dym. Południowy wiatr zawiewał go w kierunku górki Sandora.

Na glinianej, polnej drodze stały ciężkie fury z dobytkiem, czekały aż ustanie bębnienie pomocnika wójta.

II

Południowo-wschodni wiatr wiejący od strony Drawy okrutnie gwizdał. Ludzie stojący w bramie zapinali swoje palta. Było im zimno.

– Przybyli Polacy – powiedziała Kosticzowa do męża.

Upiorny płacz wierzb przy brzegu Drawy słyhać było i w izbach najdalszych nawet chałup.

Czterech polskich uchodźców zatrzymało się przed werandą Kosticzowych. Wytarli buty i weszli do ciepłej kuchni.

Józef, Heniek, Władysław i Janek dostali łóżka w jednym pokoju. Palta położyli na krzesłach, tylko Janek powiesił swój długi, skórzany płaszcz na gwoździu wbitym w drzwi. Obejrzelisi pokój, potem usiedli przy nakrytym stole. Był to pokój z niskim sufitem i dwoma oknami wychodzącymi na ulicę.

Na uszkodzonym, pochyłym dachu leżał już pierwszy śnieg.

– Przybyliśmy w samą porę – zauważył Janek. – Nadeszła zima. Potem podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Pod oknem przechodziła właśnie szczupła, wysoka dziewczyna. Patrzył za nią długo. Jeszcze podczas jedzenia nieraz myślał o niej.

Do pokoju wszedł wuj Janos i poczęstował czterech uchodźców winem.

– Tatarski rizling – śmiał się szeroko otwartymi ustami, napełniając po kolei szklanki. Pijcie przyjaciele!

Ciocia Maria postawiła na stół gorącą strawę i pokrojony chleb żytni, który włożyła do koszyczka wplecionego z wystruganych gałązek wierzbowych.

Józef nie czekał długo. Popatrzył na kromki chleba, potem wstał od stołu i otarł łzy.

– Dobry węgierski chleb. Jedzcie – zachęcała Kosticzowa. Pijcie przyjaciele! Bierzcie!

Kobieta weszła do kuchni. Drzwi pomalowane na brązowo żałośnie zaskrzypiały przy zamykaniu.

– Mój stary mózgi wreszcie posmarować zawiasy – pomyślała.

W sąsiedniej chałupie też zakwaterowano Polaków. – U Hoffmannów duża krzątanka – myślała i powoli zaciągała firankę, wiszącą na cienkim sznurku na zaparowanym oknie.

Polacy kończyli jeść kolację. Przeciągnęli się. Musieli jednak pić, bo wuj Janos często nalewał im do szklanek. Janek znowu przypomniał sobie tę piękną, wysmukłą dziewczynę, którą widział przed oknem. – Bardzo ładna dziewczyna – myślał.

Dochodziła północ, gdy położyli się spać.

– „Biedacy” – westchnęła ciocia Kosticzowa, zmierzyla ich wzrokiem i położyła na stół pęto kiełbasy.

Do wsi codziennie przybyli polscy uchodźcy. Mieszkanie Kosticzowej wkrótce stało się jadalnią.

– Patrz, Mario! Dwadzieścia pięć osób to dziennie dwadzieścia pięć pengó – zauważył wujek Janos.

– Dokładnie tyle.

– Ja nie mieszam się do twoich spraw, już mówiłem ci, rób, dopóki możesz. Po czym dodał: – Mówią, że wspomaga ich zagraniczne towarzystwo.

– Oczywiście, że zagraniczne. Anglicy i Amerykanie dają na nich pieniądze. Słyszałam to od starego wuja Vendela – kobieta popatrzyła na męża.

Uchodźcy rzadko opuszczali dom. Władysław czasem wychodził na pole z synem gospodarza, skąd przywozili łodygi kukurydzy, a ze stajni wywozili dojrzały gnój na pole. Konie zawsze poganiał Władysław.

Wio! Wio! – zachęcał parę gniadych koni.

Jednego dnia po południu Heniek wyruszył do wsi, żeby się spotkać z rodakami. Zatrzymał się przed promenadą, długo oglądał stary kościół i umieszczony na fasadzie duży, wyrzeźbiony z drewna krzyż.

Niespodziewanie stanęło przed nim trzech wyrostków.

– Ty, obcy! Czego tu szukasz! Precz stąd! – powiedział Pista Lombos i rzucił się na mężczyznę.

– Daj mu nauczkę! – zachęcali go koledzy.

Pista Lombos skoczył do Henka, podniósł pięść i uderzył go.

Heniek się nie przestraszył. Zrećnie się odchylił i od dołu mocnym lewym sierpowym uderzył w brodę przeciwnika. Pozostali dwaj chłopcy też ruszyli na Henka. Przechodzący ulicą widzieli, jak trójka młodych kotłuje się przed kościołem w śniegu. Walka nie trwała jednak długo.

Heniek był nawet wesoły. Schylił się, wziął kawałek topniejącego śniegu, otarł ręce i pomalutku ruszył pod bezlistnymi, zaśnieżonymi kasztanami. Dłonią otrząpał ubranie ze śniegu i biorąc wszystko w niepamięć zaczął gwizdać. Wszedł do drzwi restauracji Dabai.

Trzej chłopcy nie domyślali się, że Heniek przed przybyciem do wsi znajdującej się nad Drawą był w Polsce mistrzem boksu.

Przez jakiś czas chłopcy chodzili jeszcze przed małą skrzypiącą bramą promenady, potem zatrzymali się pod lipą.

– Ten nas teraz dobrze zapamiętał – myślał Pista Lombos i splunął przed siebie. Schwycił spod nóg trochę śniegu, ugniół kulę i rzucił ją w nogi wiszącego na krzyżu Chrystusa.

III

Każdej nocy kilkudziesięciu Polaków powinno przedostać się na drugi brzeg Drawy – do Jugosławii.

Janek ubierając się w pokoju cicho zaczął nucić piosenkę, której nauczył się jeszcze od dziadka: Mazurek, mazureczek...

Ściągnął mocniej pasek skózanego płaszcza i wyszedł z domu. Spacerował po ulicy w górę i w dół.

Obok studni z korbą zobaczył dziewczynę, która pierwszego dnia przechodziła pod oknem. Podszedł do niej i uśmiechając się coś jej szepnął. Ona go nie zrozumiała, wówczas on machnął ręką i zaczął kręcić korbą przy studni.

– Przystojny chłopak – myślała dziewczyna, gdy Janek wlewał wodę do emaliowanego wiadra, a potem niósł go do bramy. Dziewczyna podziękowała mu i uśmiechnęła się do niego dziecięcą buzią.

– Janek – kiwnął głową młodzieniec.

– Teresa – odpowiedziała dziewczyna i z wdziękiem podała mu rękę. Janek postawił w bramie wiadro z wodą. Zmieszana Teresa pospiesznie weszła do furtki. Zatrzymała się przed kuchnią i pomachała ręką stojącemu na ulicy młodzieńcowi.

– Proszę o miotłę – następnego dnia rano łamaną węgierszczyzną Janek zwrócił się do dziewczyny zamiatającej zaśnieżoną ulicę. Szybкими ruchami pozamiatął cały chodnik. Przechodnie ze zdziwieniem patrzyli na młodych. – Szybko się zaprzyjaźnili – zauważyła jedna ze staruszek przyspieszając kroku.

– Janek wieczorami zaczął chodzić do domu Tereski.

– Jutro przed południem moi rodzice pójdą w pole, zaprzęgna konie, bo mówią, że zwierzęta za dużo odpoczywają w stajni i są niespokojne. Po południu wrócą do domu i przywieżą kaczany z pola z kukurydzą.

Nikt nie widział Janka na drugi dzień przed południem. Na kilka minut przed turkotem wozu wyszedł na ulicę. Nie żałował, że lodowaty wiatr uczeplił się jego rozpiętego skórzanego płaszcza.

IV

– Zamarzł lód na Drawie – powiedział jednego dnia przy obiedzie Janek wujowi Kosticzowi.

– Zamarzł. Niech go lichy porwie. Niech marznie. Przynajmniej nie zaśmierdzi się mięso w komorze. Zresztą kiedy ma mrozić jak nie teraz?

– Zamarzła rzeka – mówili Polacy jeden do drugiego. Późno wieczorem pewien nieznajomy mężczyzna przyszedł do domu Kosticzów.

Czterech Polaków wraz z przybyszem weszło do małego pokoju, nakazując staremu, by pozostał w kuchni. Później mężczyzna ów został odprowadzony do małej bramy od ulicy. Był piękny, gwieździsty wieczór. Przed domem goniło się stado psów. Pogryzły się i ulica wypełniła się głośnym skowytom.

Polacy po powrocie nie weszli do pokoju. Usiedli przy stole w kuchni i patrzyli na ciocię Marię, krzątającą się koło pieca.

Władysław i Józef pomagali obierać kartofle, zaś Heniek i Janek siedzieli bez słowa przy drzwiach i patrzyli jeden na drugiego. Mieli blade twarze.

Janek włożył skórzaną płaszcz i pobiegł do domu Tereski. Niedługo jednak wrócił i trzymając twarz w dłoniach siedział przy piecu.

– Zamarzł lód na Drawie – zauważył znowu Józef i patrzył na wuja Janosa. Bardzo zimno jest od paru dni.

– Na miłość boską, co wy macie z tym lodem? Powtarzacie wciąż jedno i to samo. Niech marznie, to jest jego sprawa. W zimie zazwyczaj rzeki zamarzają.

Stary nalewał i pił.

Czterech Polaków weszło do pokoju. Rozebrali się do pasa, umyli i włożyli czyste ubrania.

Spizarnia znajdująca się na końcu budynku została już opróżniona w ubiegłym tygodniu. Tam też Polacy jedli bez słowa schylając się nad talerzami. Tylko łyżki dzwoniły.

Ciocia Maria często zanosila tam pełne naczynia, z powrotem zaś wynosiła puste talerze i szklanki.

Pomocnik wójta głośno krzyczał przed bramą: Niech was Bóg błogosławi! Kosticzowie! Oparł się o bramę. – Dzisiaj nocą ci, którzy są teraz u was, niech odejdą. Muszą odejść. Jutro nad ranem skierujemy do was nową rodzinę. Polski generał przyjdzie do was. Pięć osób do tego pierwszego pokoju.

– Dziękuję wujku Gyuri! – powiedziała kobieta, nic jednak nie mówiąc o tym Janosowi, który był na dworze. Położyła naczynia w rogu kuchni, bo czuła się bardzo zmęczona.

– Straszny świat. Co będzie dalej?

Słyszała przygotowujących się w środku Polaków.

Kiedy chłopcy pobierali swoje manatki, wujek Janos wyszedł do nich z dzbankiem wina i powiedział:

– Wypijmy jeszcze, a potem poprowadzę was na brzeg Drawy. Zrozumieście? Ja pójdę z wami przez łąkę, dobrze znam drogę, wiem, która jest najbliższa.

Idąc przez łąkę wszyscy patrzyli na dymiący komin.

– To Kompas – mówił stary.

Szli po jasno wydeptanej śnieżnej drodze. Przy szlabanie kolejowym obok policji przyłączyli się do drugiej grupy. Od strony ulicy Duży Most doszła do nich jeszcze jedna trzyosobowa grupa, która ustawiła się obok nich. Władysław zobaczywszy ich z bliska wyskoczył z koleжки i stanął obok nieproszonych gości.

– Poznaję was! W Polsce byliście zdrajcami. Nie możecie iść z nami. Nienawidzę was! Sprzedaliście się tym, którzy nas atakowali. Świnie. Przekłęci zdrajcy. Wydalicie swych braci!

Cała trójka odeszła w drugą stronę, w kierunku gorzelni, skąd unosił się delikatny zapach melasy.

Obok szeleszczącej wierzby wlokło się dwóch wopistów. Żar ich papierosów świecił w dali. Szli bezgłośnie jeden za drugim. Idąca trójka Polaków spostrzegła patrol, położyła się na brzuchu na skraju trzcinowiska w jasnym, grząskim śniegu. Józef siedł na czele grupy znad Pilicy. Był najsilniejszy z nich. Taszczył na plecach powrozy zabezpieczające. Jak tylko zbliżył się do krzaków wierzbowych, przypomniał sobie, jak trzymając nad głową ciężki kulomit przechodził przez Wisłę. Celem był

brzeg z tej strony.

Teraz natomiast
przeciwny
brzeg.



Musimy przejść, zanim zacznie się rozwidniać.

Osiemnastu polskich mężczyzn i siedem kobiet chciało dostać się na drugą stronę.

Minęli pilicyjskie chaty i wreszcie dotarli do rzeki. Zebrali się obok pokrytych szronem krzaków. Dwudziestu pięciu ludzi kucało między śnieżnymi zaspami. Wówczas jedna z polskich dziewcząt zaczęła głośno płakać.

Heniek podpełznął do niej i dłonią zatkał jej ust. – Cicho bądź! – powiedział po polsku. Ktoś zaczął mówić na głos. Wujek Janos syknął i przyłożył do usta wskazujący palec.

Czterech strażników pogranicza zbliżało się do nich od tyłu. Zdjęli z pleców karabiny i trzymając je przed sobą ruszyli w kierunku krzaków. Idący na czele plutonowy przeklinał w duchu tych, którzy wysłali go na patrol tej nocy. Po kilku krokach wszyscy zatrzymali się.

– Ani jednego kroku dalej! Ci tam to na pewno Polacy!

– Polacy? – zapytał drugi żołnierz. – Oczywiście. Dzisiaj nocą jest przeprawa. Niech uciekają i ratują swoje życie.

– Wróćmy się! – powiedział plutonowy i powolnymi krokami poszli w kierunku dużego mostu.

Polacy długo jeszcze siedzieli razem stłoczeni. Słuchali jak trzeszczy zmarznięty śnieg pod butami odchodzących żołnierzy.

– Rozdzielmy powrozy – powiedział Józef swoim kolegom. Zdjął je z pleców i ruszył. Potem kiwnął na wysokiego Polaka, aby podszedł bliżej i wziął drugi powrót.

W tej chwili za ich plecami wyskoczył wystraszony zając, wyrzucając w górę trochę śniegu i szeleszcząc ośnieżonymi gałązkami wierzbowych krzaków.

Władysław jako pierwszy wszedł na lód, wzięwszy na plecy rzucony koniec powrozu. On był najodważniejszy, a zarazem najszczuplejszy. Po kilku krokach położył się brzuchem na lodzie i czołgał się po lodowym pancerzu Drawy. Zaraz za nim też na brzuchu czołgał się Heniek. W prawej dłoni trzymał powrót, który jak jakaś żmija wił się na powierzchni lodowego pancerza, nad ich plecami.

Polacy przemierzali rzekę jeden za drugim w odległości pięciu, sześciu metrów. Jako ostatni wszedł na lód Józef. Na prawo i na lewo od nich nieznanym grupom też pętały po lodzie. Zobaczywszy, że jedna z grup już przeszła na drugi brzeg, grupa Władysława zwiększyła tempo.

Ci na drugiej stronie obejmowali się i skakali z radości. Grupa Władysława była już na środku rzeki, kiedy pod jedną dziewczyną lód się załamał. Niemal w jednej chwili była już po uszy w wodzie. Mocno chwyciła powrót i machając nogami próbowała się ratować. Pod pełznącymi przed nią i za nią też pękał lód. Heniek wyciągnął dziewczynę. Władysław wskazał ręką, aby obchodzić przerebłę. Wyruszyli w przeciwnym kierunku, powrozu nikt nie puszczał. W tej chwili znowu zaczął pękać pancerz lodowy i dwaj mężczyźni zanurzyli się w wodzie.

Nad Drawą rozległy się złowieszcze lamenty. Wszyscy przestraszyli się. Nikt nie wiedział, czy ma iść dalej, czy czekać na przeznaczenie. Heniek i Władysław już byli za dziurą. Położyli się brzuchami na lodzie i pętały dalej. Popuszczali powrót i zachęcając jeden drugiego posuwali się powoli do celu. Przyłączyli się do czekających po drugiej stronie. Józef ich nie widział. Myślał, że się utopili. Przestraszył się bardzo, gdy zauważył, że przeszli już prawie wszyscy. Pociągnął powrót całą siłą i głośno krzycząc machał idącym przed nim:

– Z powrotem! Z powrotem! Wracajcie! Z powrotem!

Kiedy ludzie usłyszeli krzyki Józefa, odwrócili się i wówczas pod nimi też zaczął pękać lód. Jeszcze trójka z nich zanurzyła się w stale powiększającej się przerebli.



Wujek Kosticz stał na brzegu porośniętym krzakami wierzbowymi na murze kanału.

Józek! Gienek! Curik! Wracajcie!

Józef z całej siły trzymał koniec powrozu, ciągnąc go na brzeg. Na miejscu pękniętego lodu pojawiła się woda. Jedenastu ludzi trzymało się sznura. Józef i Janek bardzo mocno ciągnęli ich z powrotem na brzeg w kierunku tamy.

Wujek Janos też wszedł na lód. Poszedł kilka kroków. Cekał na Józefa i Janka. Ci zebrawszy wszystkie swoje siły ciągnęli swych przemokniętych, na pół przytomnych kolegów.

Wujek Kosticz dosięgnął skórzanego płaszcza Janka, chwycił się jego rękawa. Wreszcie i on złapał koniec powrozu. We trzech ciągnęli przemokniętych, uczeplonych sznura ludzi. Na końcu słychać było szloch trzech dziewczyn.

– Nie udało się! A przecież powinniśmy pójść. Dzisiaj nocą mieliśmy przejść na drugą stronę – patrzył beznadziejnie na wuja Janosa ogromnej postury Józef.

– Wkrótce będą święta Bożego Narodzenia, a my zostaliśmy tutaj. Przeżegnał się i popatrzył na śnieżne obłoki.

– Wkrótce przyjdzie reszta i dla nich trzeba będzie zarezerwować miejsca – powiedział Janek i westchnął.

Ruszyli z powrotem jeden za drugim przez tęgę. Kosticzowa zdziwiła się, kiedy przemoknięci do suchej nitki Józef i Janek weszli do kuchni.

– Na miłość boską! Co się z wami stało?

– Tutaj spędzimy Boże Narodzenie – powiedział Janek.

Gospodyni położyła na środku kuchni świeżo wypchany siennik i dwaj Polacy położyli się na nim. Pod puszystą pierzyną szybko zasnęli.

V

W ciągu następnych dni zaprzyjaźnili się z polskim generałem i jego rodziną. Janek często rozmawiał z Basią, córką generała. Przy obiedzie zawsze siadali obok siebie, ale wieczorami chodzili do domu Tereski.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem powiedział Teresce, że musi odejść, Teresa bardzo płakała i przytulała się do niego.

– Czuję – że w wigilię wyruszymy w drogę. Ale nie obawiaj się, jeszcze nocą Bożego Narodzenia powinniśmy przedostać się na drugi brzeg. Wrócę jednak do ciebie – pogłodził czoło Tereski. Wyszli z kuchni chałupy i tam dalej mówił do niej:

– Wieczorem w wigilię Bożego Narodzenia będzie polska Msza Św. w waszym kościele. Stary polski ksiądz będzie ją odprowadzał. Chodź ze mną Teresko, chodź ze mną! Przycisnął dziewczynę do siebie i delikatnie pogłaskał ją po twarzy.

W dzień przed Bożym Narodzeniem Józef i Janek znowu wzięli ciężki powrót. Józef cały dzień kręcił się w kuchni koło cioci Kosticzowej. Rękami, nogami coś tłumaczył kobiecie.



– W domu ja piekłem najlepszy chleb i najlepsze obwarzanki i rogaliki. Poproszę trochę mąki i upiekę taki chleb i rogaliki, jakie piekłem u siebie... Piekaczem jestem w cywilu.

– Jak tylko masz ochotę, to rób – powiedziała ciotka.

Janek i Teresa razem poszli na polską mszę do kościoła. Trzymając się za ręce minęli celnicę. Pod ich nogami skrzypiał śnieg. Młodzi celnicy przypatrywali się im. – Piękna para – zauważył jeden z nich i z zachwytem mlasnął językiem.

Kiedy msza się skończyła Janek odprowadził Tereskę do domu.

– Nie bój się! Wrócę do ciebie. Wezmę cię za żonę. Przy studni zatrzymał się na moment i jeszcze raz pocałował dziewczynę.

Józef w bramie Kostyczów już tupał zniecierpliwiony, czekając na kolegę, by wyruszyć w drogę w kierunku Drawy. Wyruszyli przez łąkę. Z rogu ulicy Janek spojrzał do tyłu. Przy studni ktoś świecił latarką na kręcące się koło.

Józef przed wyjściem zapakował duży kawał chleba. Czuł, jak świeży, jeszcze ciepły chleb ogrzewa mu bok. Rano na drugi dzień go zjemy – powiedział do Janka.

Generał z rodziną wyruszyli wcześniej i już przeprawili się na drugi brzeg.

– Oni idą do Amerykanów – mówił Janek.

– A my nie?

– My tam nie idziemy – cicho odpowiedział Janek.

Dochodzili już do drugiego brzegu, kiedy pod Józefem załamał się lód. Janek tam podpełznął i sięgając ręką do przerębli szukał przyjaciela. Ale na próżno. Leżąc podniósł swoją skórzaną czapkę i czołgając się po lodzie na brzuchu ruszył w kierunku brzegu. Inni, smutni szli za nim.

Nie chciał jednak iść razem z nimi.

Przez kilka dni sam błąkał się po chorwackich wsiach. Zatrzymał się w jednej z nich. Tam przyłączył się do partyzantów.

Kostyczowie cieszyli się, że Józef z Jankiem nie wrócili. Myśleli, że bezpiecznie przeprawili się przez rzekę.

Tej nocy nikt nie wrócił. Wujek Janos nałóż wino do dużej, pojemnej szklanki i wypił za ich zdrowie. Nie domyślali się nawet, że Józef, ten młody piekarz piekł u nich ostatni chleb w swym życiu.

VI

Minęło kilka lat. Zapomniano już o polskich uchodźcach. Jedynie Teresa nie zapomniała Janka. Każdego wieczoru czekała na niego, wchodząc do małej bramy. Pierścioneł na jej palcu pomalutku zardzewiał, ale nie zardzewiało jej oddanie w stosunku do chłopca. Nagle we wsi zaczęto szeptać, że wrócił polski narzeczony Tereski. Ludzie rozmawiali też o tym, że wkrótce już będzie koniec wojny. Pod chmurami ciągnęły ciężkie samoloty w kierunku Balatonu. Na starej granicy, obok osady rybackiej wściekle strzelała artyleria przeciwlotnicza.

Teresa stała na dworze i patrzyła na rozrywające się pociski.

Jednego dnia wieczorem poszła na plebanie, szukając księdza dziekana. Po drodze myślała, że jest brzemienna.

– W sprawie ślubu szukam księdza dziekana – powiedziała pewna siebie.

Była tam tak długo, aż wszystko opowiedziała. W drodze powrotnej czuła jakby diament błyszczał w jej oczach.

– Nocą pobierzemy się! Nocą pobierzemy się. Ksiądz dziekan nas pobłogosławi – szepnęła do siebie, aby nikt nie słyszał.

Po kilku dniach przygasło światło w jej oczach. W umówiony wieczór ksiądz dziekan nadaremnie czekał na nich. Stojąc za oknami plebani zasłoniętymi żaluzjami długo nie spał i modlił się. Po północy udał się na spoczynek.

Jeszcze tego samego dnia grupa niemieckich żołnierzy okrążyła chałupę Tereski. Wszystko poprzewracali, od chlewa aż po poddasze. W stodole, w wyrobionym schowku znaleźli Janka. Długi skórzany płaszcz był tam zawieszony na żelaznym gwoździu, na którym zazwyczaj wisiła kosa.

Jak prowadzili Janka, ludzie spuszczała żaluzje w oknach. Tylko później opowiadali jeden drugiemu, że twarz polskiego chłopca była bardzo zakrwawiona.

– Kulał też – powiedział ktoś.

Na promenadzie przed kościołem pod starymi drzewami ludzie rozmawiali przed mszą. Jeden z nich mówił: – Codziennie słyszę z sąsiedniej chałupy głośny płacz i krzyk. Przy samym płocie położyłem klocek do rąbania drewna, by lepiej słyszeć, skąd dochodzi też żałosny jęk. W tej chwili uprzytomniłem sobie, że to na pewno tam niemieccy żołnierze torturują narzeczonego Tereski.

Pewnego popołudnia usłyszałem tępy wystrzał, jakby z głębokiej studni. Doszedłem do wniosku, że to w piwnicy strzelano. Odtąd nie było słychać płaczu ani jęków. Cały dzień spoglądałem na wejście do piwnicy. W nocy wywieźli ciało ciężarówką.

I do Tereski dotarła ta wiadomość. Rano ubrała się w nowe ubranie i włożyła na siebie fartuszek, ten najładniejszy.

Rodzice pracowali w polu. Jej matka powiedziała do męża: – Mój Nandorze, nie wiem jak to dziecko przeżyje tę okropność!

Stary nagle kopnął motykę w ziemię, twarz obrócił do słońca i zdjął kapelusz.

– Dzisiaj jest bardzo ciepło. Możemy iść do domu, bo lepiej, jeśli będziemy przy niej. Nieszczęśliwe dziecko! Bardzo niespokojne w tych dniach – mówił.

W małej bramie powitał ich głośno szczekający pies. Gdy otworzyli wrota od ulicy skakał przed nimi z przodu i z tyłu, żałośnie wył odwracając łeb w kierunku ogrodu. Otworzywszy bramę stodoły krzyknęły prawie jednocześnie. Zobaczyli ponad sianem nogi Tereski, wiszące pod krokwiami dachu. Na ziemi leżał skrawek papieru, na którym było napisane dużymi literami:

„Janek za mnie, ja za niego. Tereska.”

Skórzany płaszcz Janka nadal wisi na żelaznym gwoździu.

Teresę ułożyli na katafalku w pierwszym czystym pokoju. Ubrali ją w strój narzeczonej. Matka poszła do stodoły i przyniosła płaszcz Janka. Otworzyła drzwi szafy i powiesiła go obok nowego fartucha Tereski.

W pokoju cienie płonących świec migotały na bielonych, wapiennych niskich ścianach i wokół zawieszonych na nich obrazów.

Ponad rzeką Drawą przelatwały pociski. Spod brzeziny, od strony paproci strzelali do nich. Ciężkie wozy pancerne jadące po kamienistej drodze w kierunku na zachód dudniły głośno. Z daleka było słychać kanonadę dział.

Po kilku dniach skończyła się wojna...

W dniach tragedii



■ 1 lipca br. na 168 kilometrze drogi numer 7 biegnącej wzdłuż południowego brzegu Balatonu miał miejsce najtragiczniejszy wypadek ostatnich lat na Węgrzech. Autobus wiozący polskich pielgrzymów przewrócił się i wpadł do rowu. Zginęło 20 osób. Sądzę, że czytelnicy GP znają dobrze szczegóły tej tragedii. Wspominam o tym dramacie jedynie dlatego, aby przedstawić osobiste przeżycia jakich doznałem z racji mojej pracy.

Byłem świadkiem niezwykle ofiarnej pracy policji węgierskiej, która zorganizowała przyjęcie specjalnego samolotu z Polski.

Przyleciała nim komisja rządowa, polscy eksperci, dziennikarze oraz kilku członków rodzin ofiar. Konwój pilotowany przez policję po dwóch godzinach dotarł do miejsca wypadku. Palące się świece, wyrwa w rowie oraz wydeptana wokół trawa świadczyły o dramacie, który rozegrał się tu niespełna 12 godzin wcześniej. Ruch na rondzie został już wznowiony, lecz wszyscy dojeżdżali do skrzyżowania bardzo wolno, niemal bezszelestnie pokonywali ten odcinek. Wielu przejezdnych zatrzymywało się oglądając w milczeniu miejsce wypadku. Niektórzy się modlili. Dostrzegłem taką oto scenę: starsza pani – Węgierka, trzymając w ręku obrazek Matki Boskiej podchodzi do grupki przybyłych Polaków. Pomagam przełożyć jej słowa: „Ten święty obrazek znalazłam tu w trawie. Chcę go Wam oddać.”

Jedziemy do szpitala w Marcali. Na wielu domach powiewają czarne flagi. Tu znajduje się największa ilość ofiar wypadku. Od rana przebywa tu dwóch pracowników ambasady, pomagają rodakom i lekarzom. Tłumnie zgłaszają się do pomocy tłumacze.

Komisja rządowa jeszcze tego dnia musi wracać do kraju. Aby zyskać na czasie Węgry zezwalają, by samolot specjalny oczekujący w Budapeszcie, przyleciał nad Balaton i wylądował na byłym lotnisku wojskowym pod Keszthely.

Wystartował stąd niemal w ostatniej chwili, czyli przed zachodem słońca (lotnisko jest nieoświetlone) zabierając czterech najlżej rannych.

Następnego dnia po wypadku na ogrodzeniu przed naszą ambasadą ktoś położył kwiaty z czarną mirą (będzie ich więcej). Centrale telefoniczne konsulatu, ambasady, weh-u pracowały nieustannie. Dzwonili zwykli niekiedy ludzie pytając, w czym mogą pomóc, gdzie oddać ewentualnie krew. Jakiś Węgier gotów był przyjąć i adoptować dzieci-sieroty, bo słyszał w radiu, że oboje rodzice zginęli. Wielu dzwoniło, żeby po prostu złożyć kondolencje. Takie przyjmowaliśmy zapewne również my, żyjący tu Polacy. Słowem ból, wobec tak olbrzymiej tragedii, Węgry dzielili solidarnie razem z nami.

Jerzy Kochanowski

REFLEKSYJNY DERENK



„U Kowala w Kuźni” na zielonej trawie

■ 21 lipca odbył się tradycyjny wśród węgierskiej Polonii Odpust w dawnej, bo od ponad pół wieku nieistniejącej już „polskiej wsi” Derenk. Pierwszy raz brałam udział w tej uroczystości. Z zaciekawieniem wsiadałam do autokaru przed siedzibą Stowarzyszenia im. Bema. Pogoda przysłowiowo „dopisywała”, humory także. W autokarze było jeszcze kilka wolnych miejsc – być może dla takich, jak ja, którzy w przyszłym roku zdecydują się na wspólne przeżycie tego Odpustu?...

Minęliśmy Miskolc i kilka innych mniejszych miejscowości i... zatrzymaliśmy się ku memu zdziwieniu w szczerym polu. Stąd ruszyliśmy dalej pieszo, bo wąska pol-

na droga zezwalała jedynie na jazdę samochodami osobowymi. Mniejsze pojazdy zabierały chętnych do dalszej jazdy, jednak większość decydowała się na spacer krętą dróżką w słońcu, cieniu drzew, wśród krajobrazu przypominającego nasz polski. Dotarliśmy do polany na wzgórzu, gdzie rozłożyły się odpustowe kramiki z prawdziwymi „kogucikami na patyku” oraz kuchnia polowa serwująca zupełną gulaszową i pogacze.

Polana ta to podobno opłotki wsi Derenk. Po niej pozostały jedynie zdziczałe drzewa owocowe, wśród których wije się ścieżka w dół, w kierunku małej białej kapliczki, której widok wzbudzał podświadomy od-

ruch składania rąk do modlitwy. I tak też się działo.

Przy ołtarzu wzniesionym między dwoma drzewami mszę celebrowało trzech księży. Wypowiadane słowa płynęły z głębi serc, zwłaszcza tych, dla których jest to miejsce wspomnień sprzed lat, młodości spędzonej w rodzinnej wiosce, wśród swoich ziomków, a dziś spotykających się z rodakami o podobnym losie emigranta. Przybyli oni tu specjalnymi autobusami z Edelény, Istvánmajor i innych podmiskolcekich wiosek. Staruszki ze łzami w oczach odmawiają po polsku „Ojciec nasz”, śpiewają „Rotę”, „Boże coś Polskę...”

Odpust uświetniły występy zespołów ludowych: Kółko Śpiewacze przy Klubie Emerytów z Szendrőlád i „U Kowala w Kuźni” z podtarnowskiej wsi Kowalowo-Ryglice. Odjazd zaplanowano na trzecią po południu. Nim jednak wsiadłam do autokaru przeszłam jeszcze przez tutejszy, niestety zapuszczony cmentarz. Wśród zarośli sterczą krzyże. Jest kilka mogił w miarę zadbane, a tabliczki informują: „Itt nyugszik Bubenko Istvánné, Hudi Anna. Élt 56 évet”, „Itt nyugszik Gogolya Andrásné. Sz. 1848-1910. Emléklül állította György”. Niektóre tabliczki da się jeszcze odczytać, choć z trudem, jeszcze inne mają pozacierane napisy. I jest kilkadziesiąt mogił całkowicie nieoznakowanych. Nie czekajmy aż zrównają się z ziemią i znikną! Pomyślmy o nich, szczególnie już za miesiąc, w Dzień Zaduszny...

Grażyna Varga

75 lat temu sprowadzono do Polski ze Szwajcarii serce Tadeusza Kościuszki i złożono na Wawelu.

130 lat temu zmarł Stanisław Moniuszko, twórca polskiej opery narodowej; Halka, Straszny Dwór, Hrabina, Verbum nobile.

230 lat temu nastąpił pierwszy rozbiór Polski w wyniku którego utraciła ona 36 tys. km². terytorium na rzecz Prus, 83 tys. na rzecz Austrii i 92 tys. na rzecz Rosji. Tereny pod rozbiórami zamieszkiwało ponad 4,5 mln Polaków.

375 lat temu - miała miejsce słynna bitwa morska w Zatoce Gdańskiej pod Oliwą między flotą polską i szwedzką zakończona zwycięstwem Polaków.

430 lat temu zmarł Zygmunt August ostatni król Polski dynastii Jagiellonów. Od tej pory panowali w Polsce władcy elekcyjni wybierani dożywotnio na specjalnym sejmie.

575 lat temu urodził się w Krakowie Kazimierz Jagiellończyk, syn Władysława Jagiełły, wielki książę litewski, król Polski. W 13-letniej wojnie z Krzyżakami odzyskał Pomorze Gdańskie.

Zebrał: J.K

ptk BALÓ



■ Odsłonięciem tablicy pamiątkowej na domu przy bulwarze Margit oddano hołd wielkiemu przyjacielowi Polaków, płk. Zoltánowi Baló. Uroczystość zbiegła się w czasie z 63 rocznicą uchodźstwa polskiego na Węgry, w czym płk Baló położył nieocenione wręcz zasługi.

X ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

■ Za sprawą Małopolskiego Stowarzyszenia Współpracy z Polonią, a zwłaszcza jego prezesa Stanisława Lisa i nielicznej, ale preżnej grupy pracowników tej organizacji – i, nie ujmując ich zasług, za sprawą hojności całego grona sponsorów – już po raz dziesiąty

zjechali do Tarnowa dziennikarze prasy polonijnej. Na X Światowe Forum Mediów Polonijnych przybyło ponad 150 ludzi pióra i słowa – bo licznie były też reprezentowane rozgłośnie radiowe i telewizyjne – aby wymienić między sobą doświadczenia, informacje, poznać warsztaty pracy innych polonusów i krajowe, a także, by wnikliwie przestudiować aktualne problemy Macierzy. Wśród nich jednym z podstawowych jest dziś sprawa przystąpienia Polski do UE, co zgodnie z zamysłem organizatorów było głównym wątkiem spotkania. O przygotowaniach, trudnościach i nadziejach informowali dziennikarze wszyscy bez mała prelegenci. Każdy z nich rysował je z perspektywy zajmowanego stanowiska, jedni przez pryzmat kierownictwa najwyższego szczebla, inni w aspekcie swego regionu, powiatu, przedsiębiorstwa. Wniosek zasadniczy wypływający z wypowiedzi i dyskusji „okrągłego stołu” można sprowadzić do stwierdzenia, iż przystąpienie do UE zdaje się być obecnie jedyną szansą na niwelowanie dystansu dzielącego Polskę od krajów Piętnastki. Niewykorzystanie tej historycznej szansy to widmo stworzenia niepokonanej wręcz przepaści. W tym aspekcie organizatorzy Forum ostrzegają prasę polonijną jako istotny czynnik w kształtowaniu wizerunku Polski w krajach swego działania. Dano temu wyraz w wielu wystąpieniach, poczynając od inauguracyjnego Forum wystąpienia wicemarszałek Senatu, Jolanty Danielak, która stwierdziła m.in.:

„...Rola, jaką pełnią media polonijne i polskie w świecie, urasta do rangi misji, gdy uświadomimy sobie wielkie, historyczne wyzwania współczesności, w obliczu których stoi Polska.

Z tego powodu wysoko należy ocenić fakt, że obok stałego tematu przewodniego Forum jakim jest rola mediów polonijnych w utrzymywaniu więzi pomiędzy środowiskami Polonii a krajem oraz promocji Pol-

ski w świecie, od 1999 roku organizatorzy tarnowskich spotkań uwzględniają szeroko i wszechstronnie zagadnienia związane z procesem integracji Polski z Unią Europejską. Zwracam uwagę na ten aspekt programu Światowego Forum, gdyż teraz, kiedy odzyskujemy należne nam miejsce w Europie i świecie, wagi wsparcia mediów polskich za granicą dla tego procesu nie sposób przecenić.

Dziś wyrazem związków Polonii z Macierzą jest nie tylko kultywowanie polskiej tradycji i języka, lecz aktywne działania Polonii na rzecz rozwoju gospodarczego Polski, intensywny lobbying na rzecz jej uczestnictwa w strukturach unijnych oraz promowanie polskiej kultury i osiągnięć w krajach osiedlenia.”

Zadania stawiane przed mediami polonijnymi w odniesieniu do procesu integracji Polski z UE muszą być siłą rzeczy zróżnicowane. Innych działań oczekuje się od polonijnej prasy Zachodu, która w licznych krajach Piętnastki ma wpływ na tamtejsze środowiska opiniotwórcze, innych od dziennikarzy z krajów pretendujących obok Polski do UE, a jeszcze innych od tytułów wychodzących w krajach byłego Związku Radzieckiego. Dziennikarze z tego ostatniego regionu właśnie nie ukrywali swych obaw przed ewentualnym zastojem w kontaktach z Macierzą, po przystąpieniu Polski do UE. Organizatorzy Forum przygotowali apel uczestników Forum do wszystkich mediów polonijnych o aktywne wspieranie procesu integracyjnego w ich pracy.

Za charakterystyczną cechą tegorocznego, jubileuszowego Forum można uznać

mnogość inicjatyw

z jakimi wyszli gospodarze, z których część spotkała się z powszechną aprobatą, ale były i takie, które wywołały dyskusję. Wspomniany już apel na przykład nie zyskał pełnej aprobaty uczestników. Część dziennikarzy z Zachodu, nie negując samej idei autorów apelu, zaoponowała z powodu niefrasobliwego – ich zdaniem – sformułowania myśli w nim zawartych, co nadało aktowi znamiona nieakceptowanej propagandy.

Natomiast z pełnym poparciem uczestników spotkała się inicjatywa dyrektora



Sala obrad

Tarnowskiego Teatru im. L. Solskiego, który zwrócił się o nagłośnienie w mediach polonijnych organizowanego przezeń Interdyscyplinarnego Festiwalu Sztuki ARS POLONIAE XXI, obejmującego sztukę teatralną, co z całą przyjemnością czynię i kieruję do naszej Niezależnej Grupy Teatralnej „Dom Otwarty” i kompozytora Ryszarda Kruzy.

Nie mogła mieć oponenta inicjatywa wielkiej indywidualności Forum, Zbigniewa Kosteckiego, zmierzająca do stałego wzbogacania bazy danych o Polonii. Mieszkający na stałe w Niemczech lekarz z zawodu, zamiłowany interneteuta stworzył internetową stronę, która jest bez wątpienia najbogatszym, najlepszym źródłem informacji o Polonii. By się o tym przekonać wystarczy kliknąć na www.polonia.org.

Na nagłośnienie przez polonijnych żurnalistów własnej akcji – i naturalnie sponsoring – oczekuje wioślarz Andrzej Kornaś, który chce samotnie na siedmiometrowej łodzi pokonać Atlantyk. W przyszłym roku czeka go próba kondycji (wszak przekroczył pięćdziesiątkę) na trasie Polska-Szwecja.

Z mieszanymi uczuciami przyjęto na Forum sprawę budowy Pomnika Chrystusa Króla Zbawiciela Świata i Centrum Jedności Polonii. Obiekt ten ma zaistnieć na Górze św. Marcina w Tarnowie, jako szczególne wotum wdzięczności Bogu za Papieża Polaka – Ojca Świętego Jana Pawła II, odzyskaną wolność oraz zachowanie i trwanie wiary chrześcijańskiej. Ponadto ma to być miejsce przekazu tradycji, kultury i sztuki, jak również gromadzenia archiwaliów polonijnych. Zauważalne zdystansowanie wobec przedsięwzięcia nie odnosi się bynajmniej do samej, szczytnej idei. Dziennikarze, szczególnie z USA i Kanady, skrytykowali dążność do nieuzasadnionej

w tym przypadku gigantomanii i trybu, w jakim prowadzona jest w Ameryce zbiórka środków na ten cel.

Nie zyskała też aprobaty idea budowy Pomnika Emigranta Polskiego w takiej formie i treści, jaką przekazał inicjator pomysłu – Klub Publicystów Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. Bo czy Polak żyjący za wschodnią granicą jest emigrantem? Wszak jemu granicę historia, a dokładniej określając jej niechlubni lub mniej chlubni współtwórcy przenieśli nad głową odcinając od Macierzy na długie lata. I czy taki pomnik ma być wznoszony częściowo z darów Polonii? – Jeśli Kraj czuje się w obowiązku postawienia takiego pomnika, to proszę bardzo, choć szczytniejszym byłoby zbudowanie jakiegoś szpitala, sierocińca, czy innej, służącej dobru ogółu placówki z nadaniem jej imienia np. Emigranta Polskiego. A w tym Polonia chętnie pomoże – padło z sali w ożywionej dyskusji. Poza wątkiem głównym na dziennikarskim forum poruszano też inne ważne zagadnienia, jak np.

doskonalenie form współpracy

Polonii z Macierzą. O staraniach Senatu w tej materii wspomniała jego wicemarszałek Jolanta Danielak, a temat dalej rozwinęli: wicedyrektor Departamentu MSZ, Wiesław Osuchowski mówiąc o przygotowaniu Programu Współpracy, jaki ma być niebawem przedmiotem konsultacji z Polonią w placówkach dyplomatycznych RP, oraz dobrze nam znany z osobistych kontaktów z Polonią węgierską b. ambasador RP na Węgrzech Grzegorz Łubczyk, inicjator dyskusji „Jak Polak z Polonią” (o czym GP informował w poprzednim numerze). Doceniając odczuwalne w ostatnim czasie ożywienie w traktowaniu spraw Polskiej Diaspory przez polską admini-

strację, wskazał on m.in. na potrzebę lepszego współpracy organizacji polonijnych: „Jednym z wyzwań, jakie ostatnio pojawiło się przed polonijnymi organizacjami kontynentalnymi jest inicjatywa utworzenia wspólnego ciała czy gremium kierowniczego – nie o nazwę tu chodzi – jako oficjalnego przedstawicielstwa wielomilionowej Polskiej Diaspory. Wydaje się, że to bardzo wzmocniłoby pozycję Polonii w jej kontaktach z najwyższymi władzami Ojczyzny tego Kraju.”

I jest to prawda, jak i prawdą jest to, że dialog ten ułatwiłoby też ustanowienie w Kraju jednego, posiadającego władzę wykonawczą ośrodka dla kontaktów z Polonią, co dało się wyczytać ze wspomnianej wyżej dyskusji. Zapytany przeze mnie w tej sprawie podczas konferencji prasowej Prezydent RP, Aleksander Kwaśniewski, który notabene sprawował honorowy patronat Forum, powiedział, iż sprawa jest przedmiotem rozważań. Nie widzi żadnych przeciwwskazań gdyby taki ośrodek chciano ustanowić przy Kancelarii Prezydenta RP, ale też uważa, że to wymaga dłuższego czasu i jeżeli do tego dojdzie to prawdopodobnie już nie za jego kadencji.

Moja relacja z Forum jest może przydługa, ale i wydarzeń było wiele i można rzec, że uczestnicy tego spotkania mieli pracowity tydzień. Nie oznacza to, że gospodarze w programie nie znaleźli czasu na relaksujące uczestników

oferty turystyczne,

choć w ich odczuciu takich mogło być więcej. I gospodarze Tarnowa, i gospodarze województwa świętokrzyskiego starali się nas zaciekać ich regionem, na ile było to tylko możliwe.

Urzekająca jest odnowiona Starówka Tarnowa, dla nas „bemowców” miasta szczególnego, bo rodzinnego grodu naszego patrona generała Bema. Ale będąc w Tarnowie warto też zatrzymać się przed pomnikiem jego adjutanta, Sándora Petőfi, zlokalizowanego na ślicznym skwerze, na który wchodzi się przez Bramę Siedmiogrodzką. O urokach Sandomierza wiadomo wszystkim Polakom, ale oddać się im z bliska jest przeżyciem na zawsze. Niecodzienną też rzeczą jest obejrzenie rezerwat geologiczny, jakim jest Kadzielnia w Kielcach, skansen wsi kieleckiej w Tokarni, czy ruiny ujmującego swą wielkością zamku Ossolińskich – Krzyżtopór.

Organizatorzy Światowego Forum Mediów Polonijnych wyznaczyli już trasę kolejnego spotkania. Za rok dziennikarze tradycyjnie spotkają się w Tarnowie, by potem gościć w Lublinie i w Warszawie.

Jerzy Królikowski



Prezydium zapoznaje z programem Forum



Nasz "Głos Polonii" wśród innych gazet



Dobrzy znajomi: Zb. Świąch i G. Łubezyk



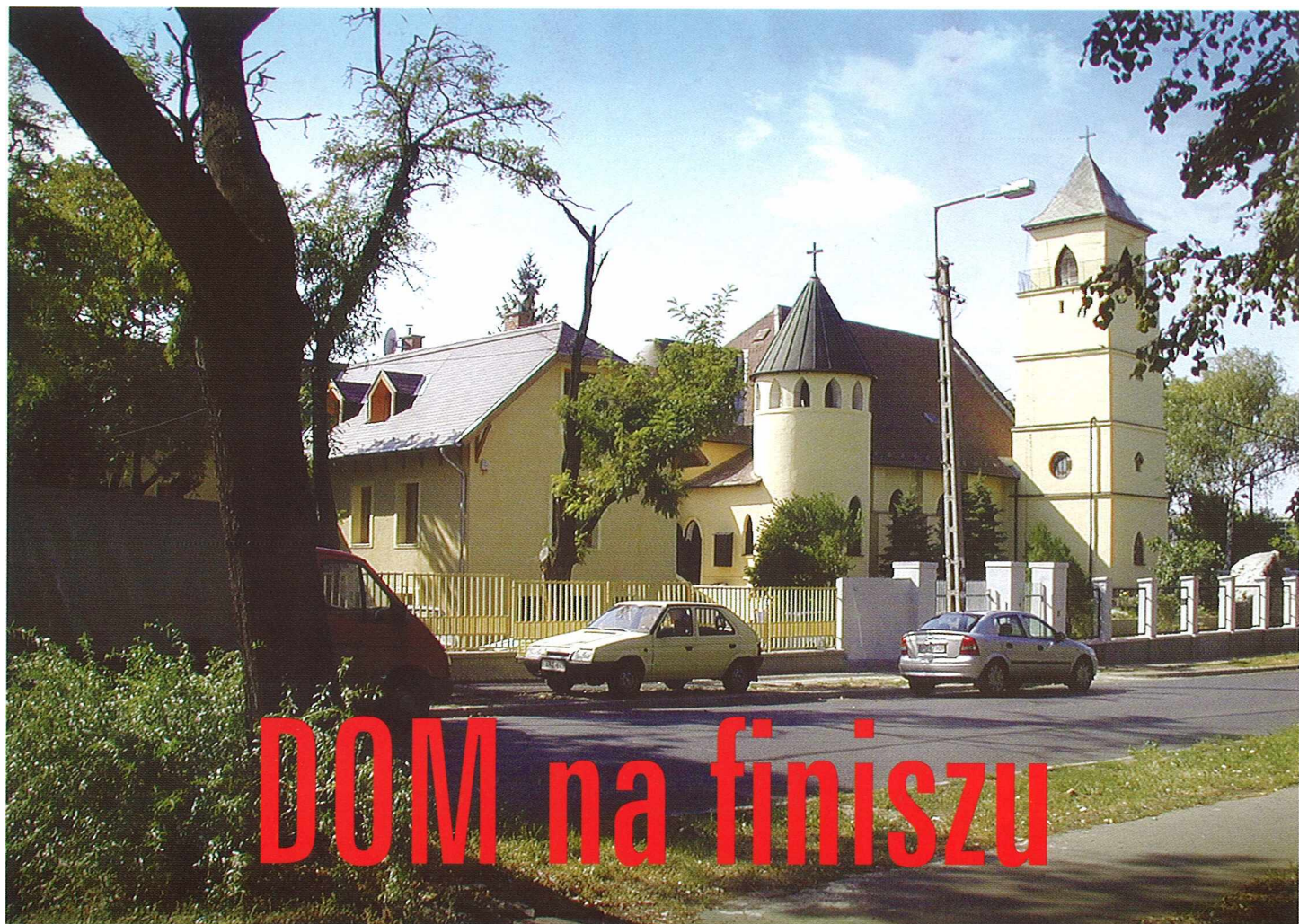
Tarnowska Starówka



Amfiteatr w Kadzielni



Prezydent A. Kwaśniewski odpowiedział na wszystkie zadane pytania



Na zewnątrz wszystko już lsni. Do wewnątrz zaprosimy PT Czytelników w dniu uroczystego otwarcia.

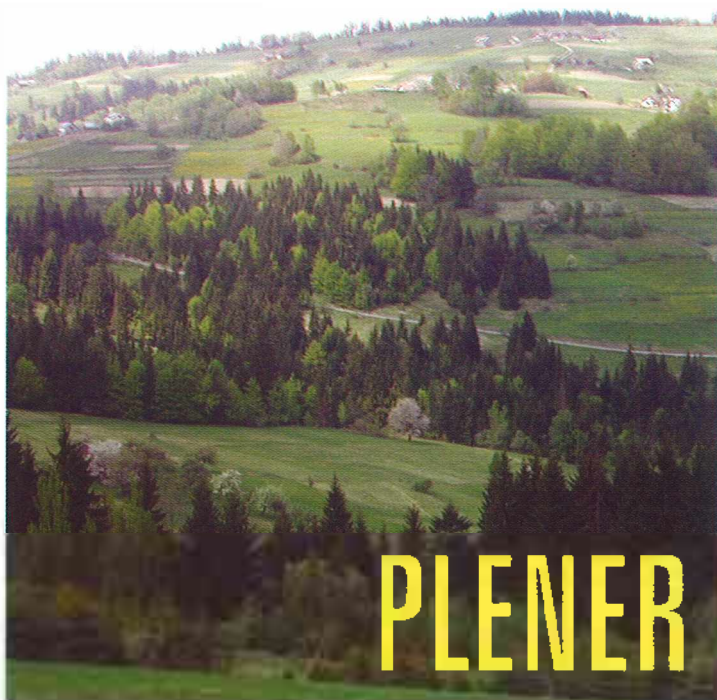




uczestnicy pleneru



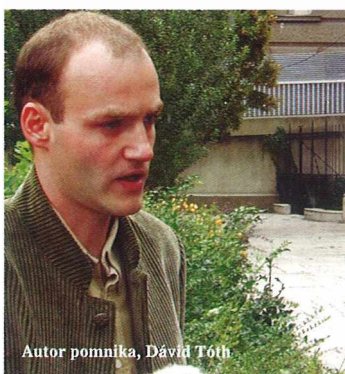
Praca Zenobii Siekierskiej



PLENER

■ Nasi polonijni plastycy kontynuują wspólne plenery z artystami z Polski. W tym roku plenerowe warsztaty miały miejsce w Ustroniu. Owocem pobytu polonijnych artystów jest kilka prac, które zostaną pokazane na tamtejszej wystawie i wiele szkiców pod przyszłe dzieła.

Św. Kinga w sercu miasta



Autor pomnika, Dávid Tóth

■ Odsłonięcie i poświęcenie pierwszego na Węgrzech pomnika św. Kingi zgromadziło licznie stołeczną Polonię. Szerzej o wydarzeniu piszemy na str. 18-19.

ÁLLÍTATTA
BELVÁROS-LIPÓTVÁROS
ÖNKORMÁNYZATA
TÁMOGATÓK
KÉPZŐ- ÉS IPARMŰVÉSZETI
LEKTORÁTUS
MAGYARORSZÁGI NEMZETI
ÉS ETNIKAI KISEBBSÉGEKÉRT
KÖZALAPÍTVÁNY
REÁL '91 TERVEZŐIRODA





■ Z inicjatywy zakonników i siostr wykładających w węgierskich szkołach katolickich przed siedmioma laty wyruszyła pierwsza młodzieżowa pielgrzymka pn. Droga Przyjaciół. Uczniowie w ten sposób w wakacje poznają nowych przyjaciół w ościennych i zaprzyjaźnionych krajach. Poza Węgrami pielgrzymi dotarli wcześniej do Siedmiogrodu, na Ukrainę i Słowację.

W tym roku młodzi po raz pierwszy ruszyli do Polski. Trasa tegorocznej pielgrzymki była w zamyśle śladami dwóch wielkich Córek Narodu: św. Kingi i św. Jadwigi. Grupa 350 uczestników przemierzyła pieszo i autobusami drogę od Szczawnicy do Częstochowy. Wszędzie napotykali oni na życzliwość parafian znajdujących się na trasie kościołów. W Kopalni Soli w Wieliczce odśpiewali oratorium o życiu św. Kingi. Bardzo dobrze poznali też smak polskiego bigosu, bo on to stał się podstawową strawą, jaką ich często podejmowano.

grzybo- bra- nie



■ Jak nas poinformowano tegoroczna susza w Polsce nie sprzyjała grzybobraniom. Na Węgrzech grzybów nie brakowało. Oto, na dowód prawdy, owoc godzinnego zaledwie spaceru po lesie w górach Mátra.

POLONIJNE ŚWIĘTOWANIE



■ Zdążyliśmy się przyzwyczaić, iż w końcu czerwca w pobliżu imienin Władysława organizowany jest przez OSMP Dzień Polonii (węgierskiej), której patronem jest król Święty Władysław. Centralne uroczystości rozpoczynają się Mszą Świętą w naszym Polskim Kościele, a następnie kontynuowane są w sali teatralnej Domu Kultury im. Patakyego, gdzie najważniejszym punktem programu jest bez wątpienia wręczenie nagród „Za zasługi dla Polonii węgierskiej”. Jednym z tegorocznych laureatów został nasz długoletni i zasłużony działacz, były prezes PSK im. J.Bema, Andrzej Wesołowski.

– W imieniu wszystkich członków naszego Stowarzyszenia chciałabym Ci bardzo serdecznie pogratulować nagrody. Naprawdę cieszymy się, że wreszcie Cię dostrzeżono.
– Dziękuję bardzo, ale jeśli mam być szczerzy, to uważam, że nagroda ta spóźniła się co najmniej o 6 lat. Chyba, że Samorząd przydziela nagrody alfabetycznie, a ponieważ nazwisko moje zaczyna się na literę W, więc jest to zrozumiałe. Byłem trochę zdziwiony odbierając nagrodę, gdyż stałem w jednym szeregu z osobami, które w porównaniu z wieloma naszymi działaczami od niedawna pracują na rzecz Polonii. Ja działałem już od 32 lat: przez dwie kadencje, w latach 1984-88 i 1994-97 byłem prezesem, a także nie tak jeszcze dawno prze-



wodniczącym Komisji Rewizyjnej. Nie chcę się tu chwalić, a raczej może tylko przypomnieć, że podczas mojej prezesury odsłoniliśmy dwie tablice: jedną w Nyírbátor dla uczczenia 400-lecia śmierci Stefana Batorego, drugą na domu przy ul. Fő, a poświęconą pamięci Polaków zamordowanych przez Niemców 19 marca 1944 r., a więc już w pierwszym dniu wojny niemiecko-węgierskiej. Zorganizowałem dwie pielgrzymki do Rzymu, jedną jeszcze w czasach komunistycznych.

– Od 1998 roku jesteś przewodniczącym SMP V dzielnicy, a więc dzielnicy, gdzie od przeszło 40 lat znajduje się siedziba Stowarzyszenia. Poza Tobą członkami samorządu są Jadwiga Ábrusán i Gabriela Hajdu, obie z Zarządu Stowarzyszenia. Dzięki zatem temu, że sprawy organizacji nie są wam obce, zorganizowaliśmy kilka imprez wspólnie, a ponadto otrzymywaliśmy od was też poparcie finansowe, podobnie zresztą jak i od SMP XIII dzielnicy, gdzie działają również, z przewodniczącą na czele osoby ściśle związane z „Bemem”. Wydaje mi się, że to, co zapoczątkowałeś niegdyś w Stowarzyszeniu, kontynuowałeś w Samorządzie.

– Odnowiliśmy obelisk księcia Mieczysława Woronieckiego na cmentarzu przy ul. Fiumei, zorganizowaliśmy ponownie pielgrzymkę do Rzymu, wycieczkę do Krako-

wa, w lipcu tego roku do Rzeszowa. 15 września przy Kościele Śródmiejskim przy Placu 15 Marca odbyło się odsłonięcie i poświęcenie pierwszego na Węgrzech pomnika Świętej Kingi, naszej polskiej świętej, żony księcia Bolesława Wstydlwego, a córki króla Węgier, Béli IV.

Pomysł postawienia pomnika zrodził się jeszcze w 1999 r., a wiązało się to uroczystościami milenijnymi na Węgrzech. Natychmiast zaczęliśmy starać się o środki finansowe, w pierwszym rządzie przeznaczając na ten cel własne fundusze. Bardzo pomógł nam Samorząd V dzielnicy – Belváros-Lipótváros, Fundacja d/s Mniejszości Narodowych i Etnicznych na Węgrzech, Lektorat Sztuk Pięknych i Przemysłowych (Képző és Iparművészeti Lektorátus) i wreszcie Biuro Projektowe Reál 91. I chociaż droga od pomysłu do realizacji nie była krótka i prosta, to najważniejsze, że się udało. Pomnik jest jeszcze jednym dowodem wspólnej historii polsko-węgierskiej.

– Zbliża się termin wyborów samorządowych, w tym wyborów do samorządów mniejszościowych. Czy można liczyć na Ciebie, zwłaszcza że wg spisu powszechnego, który miał wiele niedostatków i z pewnością nie odzwierciedla prawdziwej sytuacji, w V dzielnicy 35 osób przyznało się do swego polskiego pochodzenia, a 52 do związków z kulturą polską.

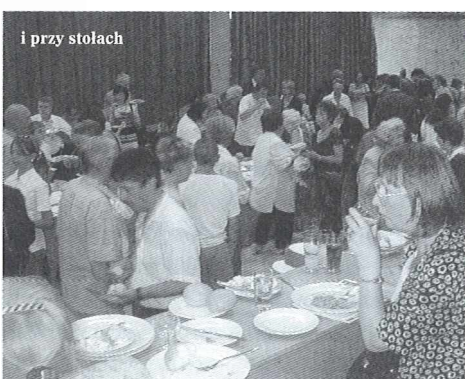
– Jeśli mam być szczerzy, do chwili obecnej (do 29 sierpnia – p.m) nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. Nazwisko mam na liście W, a wiem, że niektóre osoby, nie mające żadnych powiązań z Polską, polską kulturą robią sobie ogromną kampanię reklamową i kto wie, czy właśnie wyborcy nie oddadzą na nich swych głosów. Mam jednak jeszcze trochę czasu na zastanowienie się.

– Jeszcze raz gratulujemy nagrody i życzymy, byś podjął wyzwanie. W poprzednich wyborach też znajdowałeś się na końcu listy, a mimo to uzyskałeś odpowiednią ilość głosów. Może więc i tym razem zwycięży zdrowy rozsądek.

Rozmawiała: Alicja Nagy



W rzędach...



i przy stołach

■ Z Dniem Polonii mieliśmy pecha i szczęście. Szczęście, bo w jego przededniu ukazał się 69. numer naszego pisma i rozszedł się jak świeże bułeczki, a pecha, bo ten numer ukazuje się w trzy miesiące po uroczystościach i dlatego w relacji ograniczamy się do zestawu zdjęć, powyżej zamieszczonego wywiadu i małej dygresji. Szanowni Organizatorzy! Na przyszłość spróbujcie skrócić część oficjalną i zaprogramujcie krótką przerwę! Reszta może pozostać bez zmian.

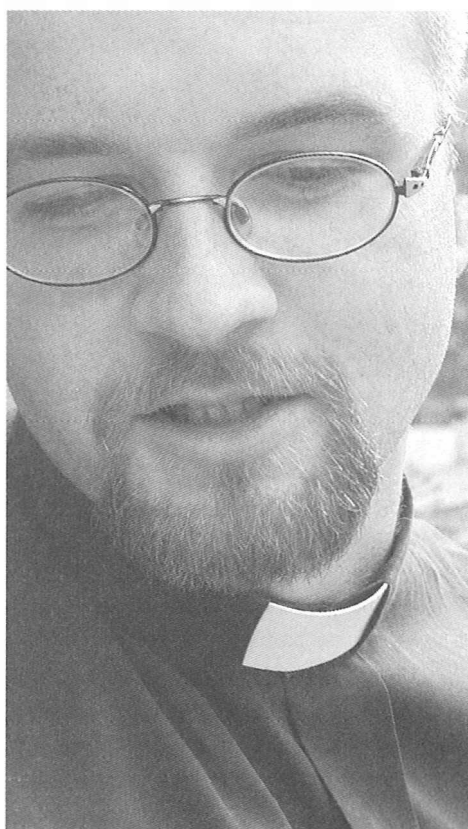
Na Pasterkę w pełni lata

— rozmowa z diakonem Andrzejem Kołaczkowskim z Australii —

■ Przez piętnaście dni sierpniowych przebywał w naszym Polskim Kościele na praktyce diakon Andrzej Kołaczkowski. Ci zaś, którzy wybrali się z pielgrzymką do Krakowa na Mszę Św. odprowadzaną przez Ojca Świętego Jana Pawła II mieli okazję bliżej się z nim poznać, ponieważ i on wziął w niej udział, starając się pomóc naszemu ks. proboszczowi, a zarazem nabrać doświadczeń potrzebnych w przyszłej pracy z wiernymi.

— W maju przyszłego roku otrzymam święcenia kapłańskie i najprawdopodobniej wrócę do Australii. Mając 14 lat wyjechałem tam z Gdańska z rodzicami i starszą siostrą. Zamieszkaliśmy w Melbourne, gdzie mieliśmy już rodzinę ze strony mojego ojca. Znam więc dobrze życie emigranta, jego blaski i cienie. Początki pobytu były bardzo trudne nawet dla mnie młodego chłopca. Ale po półrocznym mniej więcej pobycie na tyle nauczyłem się już języka angielskiego, że po zajęciach szkolnych mogłem podjąć się pracy zarobkowej. A to znaczyło bardzo dużo. Znacznie szybciej też niż moja rodzina zacząłem traktować Australię jako kraj swego zamieszkania. W 1996 r. podjąłem decyzję wstąpienia do Seminarium Duchownego Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej.

— Czy to oznacza, że z Chrystusowcami zetknął się ksiądz właśnie w Melbourne?



— W mieście tym żyje ok. 40 tys. Polaków, a na terenie objętym przez Chrystusowców do 7 tys. To duża grupa. Na Pasterkę tylko, która u nas odbywa się w pełni lata, przychodzi co najmniej 3 tys. ludzi. Póki co jednak nie mamy swego własnego polskiego

kościół. Dopiero w najbliższym czasie ma się rozpocząć budowa Sanktuarium Miłosierdzia Bożego.

— Czy w Melbourne pracują już księża wywodzący się spośród tamtejszej Polonii?

— Wiem o jednym księdzu Andrzeju Jękcocie już tam urodzonym, który pracuje w duszpasterstwie diecezjalnym. Niestety, nie mówi po polsku. Natomiast wszyscy Chrystusowcy przybyli do nas do pracy z Polski.

— Wiem, że dwa tygodnie to stanowczo za mało, aby dokonać pewnych porównań, ale może zauważył ksiądz pewne podobieństwa, różnice między naszymi Poloniami.

— Jak już wcześniej powiedziałem Polonia w Melbourne jest duża i prężna. Rocznie do pierwszej Komunii Świętej przystępuje ok. 40-50 dzieci. U nas żyją całe polskie rodziny, tutaj natomiast – zauważyłem to już wcześniej podczas swego pierwszego pobytu z całym wówczas rocznikiem z seminarium przed przeszło dwoma laty – większość to rodziny polsko-węgierskie, w których nie zawsze wszyscy jej członkowie znają język polski. Może i to jest przyczyną, dla której w sumie niewiele chyba osób przychodzi do Polskiego Kościoła.

— Czego życzyłby ksiądz naszej Polonii?

— Przede wszystkim jedności, bez której żadna praca jest niemożliwa. A ponadto tego, by miłość do tej – dla wielu osób, pierwszej – ojczyzny nigdy nie wygasła.

Dziękujemy serdecznie za rozmowę i życzymy księdzu w przyszłości owocnej pracy wśród Polonii australijskiej.

Notowała: Alicja Nagy



Kaplica

■ 26 sierpnia to w Polsce święto naszej Królowej – Matki Boskiej Częstochowskiej, której cudowny obraz – obraz Czarnej Madonny znajduje się w kaplicy klasztornej na Jasnej Górze. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej został sprowadzony do klasztoru najprawdopodobniej z Węgier. Sam klasztor, który tak bardzo wspaniał się

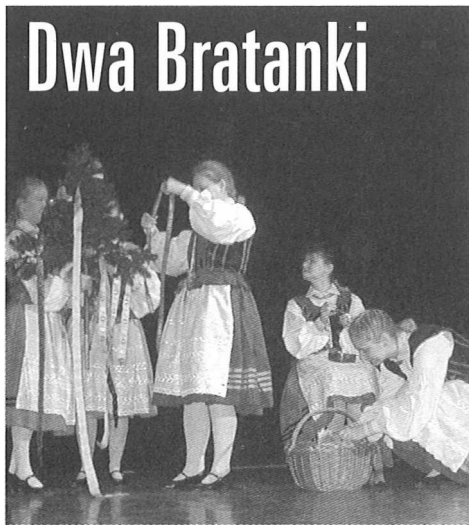
podczas wojny ze Szwedami został zresztą założony przez o. Paulinów wywodzących się z Węgier.

W Kościele Skalnym pod Górą Gellérta znajduje się Kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej. Po raz pierwszy otwarta została w 1934 r., ale po II wojnie światowej władze komunistyczne Węgier rozwiązały



wszystkie zakony, a więc i zakon o. Paulinów i zamknęły Kościół Skalny, a z nim razem i naszą kaplicę. Ponownie otwarta została w maju 1994 r. I od tego czasu właśnie tutaj Polonia nasza obchodzi święto Matki Boskiej Częstochowskiej na uroczystej Mszy Św., po której odbywa się odnowienie Ślubów Jasnogórskich.

Dwa Bratanki



■ Pierwsze swe kroki zespół stawiał przed 9 laty podczas uroczystości jubileuszowych Stowarzyszenia Bema. Z jaką nadzieją i dumą spoglądaliśmy wówczas na nasze maluchy, które tak ślicznie wyglądały na scenie w polskich strojach ludowych. A potem już zespół, który przyjął nazwę *Dwa Bratanki*, poczynił sobie coraz śmielej. Co prawda Jagoda Városi, która była właściwie jego założycielką, wkrótce odeszła, ale pozostał jako choreograf István Herzeg, tancerz z dawnego jeszcze zespołu bemowskiego, kierowanego przez Janinę Kószechy. Kierownikiem muzycznym zos-

tała Małgorzata Pietrzyk-Bánóné. Obydwoje natychmiast do zespołu wciągnęli swoje dzieci. Zespół zaczął wyjeżdżać do Polski na kursy tańców ludowych, i uczestniczyć w rzeszowskim festiwalu polonijnych zespołów ludowych, najczęściej jednak poza konkursem. Na Węgrzech natomiast występował niemal we wszystkich liczących się imprezach nie tylko polonijnych, ale i wszędzie tam, gdzie chcieliśmy zaznaczyć swoją polską obecność.

Przed dwoma bodaj laty raptem dowiedzieliśmy się, że *Dwa Bratanki* zawiesiły działalność. Powód? Przede wszystkim brak chłopców. Długoletni członkowie zespołu wyrosli z wieku dziecięcego, stali się młodzieńcami, studentami, którzy po prostu w nawale innych zajęć nie mieli wiele czasu na próby, występy.

Z radością jednak przyjmowaliśmy każdą najmniejszą nawet wiadomość o próbach odnowy zespołu. W ubiegłym i w tym roku niektórzy jego członkowie wystąpili na uroczystości „wielkanocnego jajeczka”. Beata Herzeg, córka Istvána związana z *Dwoma Bratankami* od ich początku, w lipcu tego roku skończyła w Rzeszowie 4-letni kurs instruktorów tańców polskich i już jako dyplomowany choreograf podjęła się zadania rekonstrukcji zespołu.

Dziewczęta z dawnych Bratanków nie dały się długo namawiać, gorzej było z chłopcami, ale od czego osobisty urok młodej choreografki, w cywilu studentki polonistyki na ELTE? Już w lipcu na dwutygodniowe Studium Tańców Polskich do Rzeszowa pojechało 6 par. Tancerze nauczyli się tam układu przeworskiego i łowickiego, z którym wystąpili w Újpeszcie 1 września. – Pierwsze nasze występy odbyły się już na rynku w Rzeszowie i w Solinie. Nasze dziewczyny śpiewały tam też z dużym powodzeniem piosenki węgierskie. Na pewno zespół by się nie odrodził, gdyby nie ogromna pomoc Małgorzaty Pietrzyk i mojego taty – mówi skromnie Beata. – Dużo musimy pracować, aby osiągnąć dawny poziom, bo przecież wszyscy chłopcy są nowi, a i niewiele czasu mamy na próby. Każdy z nas studiuje, albo pracuje. Póki co próby mamy co piątek w budynku OSMF. Ale jest to naturalnie zespół działający przy Stowarzyszeniu Bema. Ponieważ w przyszłym roku zarówno „Bem”, jak i zespół obchodzą swoje 45-lecie i 10-lecie już teraz obiecujemy, że zrobimy wszystko, by godnie uczcić te jubileusze. Mamy nadzieję, że do tego czasu będziemy się mogli nieraz pokazać szerszej publiczności. (kor)

Polonez



■ Wystąpił z powodzeniem m.in. na ostatnim balu Polonii, na którym wodziłem był nie kto inny, tylko sam gwiazdor polskiej estrady – Bohdan Łazuka, a potem w Bemie dla uczczenia Święta Kobiet, kiedy to członkowie zespołu nie tylko tańczyli polskie tańce ludowe, ale i obdarowywali bukietami przebiśniegów wszystkie zebrane tam panie w liczbie ponad pół setki, pod pomnikiem króla Batoryego w XIV dzielnicy, w Miskolcu, Békéscsabie i Győr, a także podczas tego-

rocznego Święta Polonii w Domu Kultury im. Patakyego. Mowa tu o zespole Polonez, powstałym i działającym przy SMP XVIII dzielnicy. W październiku kończy on... dwa lata. Nie jest więc już niemowlakiem, ale do pełnoletności jeszcze mu daleko. Póki co wszyscy jego członkowie w liczbie 26 uczą się w szkołach podstawowych, przede wszystkim w XVIII dzielnicy, a także w Újpeszcie, Zugló i Kőbánya. Polskie tańce ludowe ćwiczą pod kierunkiem choreografa z Lublina, Jerzego Śniechowskiego, węgierskie – Andrei Mitzi, zaś nowoczesne do podkładów polskich i angielskich – Dalmy László.

– W zespole, który wyrósł z *Dwóch Bratanków* – mówi kierownik, Katarzyna Balogh – mamy 12 dzieci z małżeństw polsko-węgierskich, dwoje tylko z polskich. Reszta to dzieci węgierskie. Wszystkie jednak uczą się polskiego, lepiej czy gorzej mówią po polsku, tak że choreograf prowadzi z nimi spokojnie próby posługując się tylko językiem polskim. Nie bez znaczenia są dla nas pobyty na kursach w Polsce, gdzie uczymy się nie tylko tańców, ale i języka (ostatnio na dwutygodniowym kursie Stegna 2002 zorganizowanym przez Wspólnotę Polską z Elbląga nauczyliśmy się tańców rybackich, wielkopolskich i techniki do oberka), a także udział w festiwalach.

W tym roku np. już po raz drugi uczestniczyliśmy w Festiwalu Tańca Nowoczesnego „Dominik” w Gdańsku w dniach od 26 lipca do 2 sierpnia. W ubiegłym roku otrzymaliśmy nawet wyróżnienie prezydenta m. Gdańska. W tym roku w Gdańsku nawiązaliśmy kontakt z zespołem *Polonia* z Monachium, co w przyszłości na pewno zaowocuje wzajemną wymianą. Właśnie w sierpniu gościliśmy u siebie zespół *Bławatki* z Chojnic, z którym zaprzyjaźniliśmy się na kursie w Stegnie, a w przyszłym roku my jedziemy do nich. Płynąc do Szwecji wystąpiliśmy z programem na promie, odnosząc duży sukces. Świadczy to chyba o tym, że nasze dzieci są naprawdę zdolne. – Ale nie tylko dzieci, bo i my rodzice wykazujemy się zdolnościami krawieckimi. Wszak większość strojów szyjemy sami. Ze „Wspólnoty Polskiej” otrzymaliśmy ludowe stroje krakowskie, a naszym dziełem są już kaszubskie, kurpiowskie, w tej chwili przygotowujemy wielkopolskie.

Tyle kierownik zespołu, który swymi występami z pewnością nie raz jeszcze będzie przynosił sławę naszej polskiej mniejszości zarówno na Węgrzech, jak i za granicą. Z okazji urodzin życzymy mu z całego serca wielu sukcesów i gorących przyjęć wszędzie tam, gdzie będzie występował.

AN

Pomnik św. Kingi

■ Niezwykła uroczystość odbyła się 15 września na pl. 15 Marca przed zabytkowym kościołem Śródmiejskim. Z inicjatywy SMP V dzielnicy odsłonięto tu pierwszy na Węgrzech pomnik św. Kingi, wykonany wg projektu młodego artysty rzeźbiarza Dávida Tótha. Okolicznościowe przemówienie wygłosili: burmistrz V dzielnicy Károly Karsai i ambasador nadzwyczajny i pełnomocny RP na Węgrzech, Rafał Wiśniewski.

Uroczystość poprzedziła Msza św. w kościele śródmiejskim celebrowana przez wikariusza generalnego metropolii Esztergom-Budapeszt ks. Bp. Antala Spányiego w asyście m.in. naszego ks. proboszcza, Zbigniewa Czernika. Podczas Mszy Św. poza chórem kościelnym wystąpił również doskonale nam znany i ceniony chór Czantoria z Ustronia.

Poniżej drukujemy fragmenty referatu na temat Św. Kingi ks. Macieja Józefowicza wygłoszonego w Kościele Polskim z okazji rozpoczęcia Dni Kultury Chrześcijańskiej i sympozjum historycznego, poświęconego 1000-leciu kontaktów polsko-węgierskich w październiku 2000 roku.

Święta Kinga

prekursorem władcy doby humanizmu

■ Może zbyt śmiało brzmi tytuł niniejszego rozważania, spróbuję jednak ustosunkować się do wyznaczonego sobie zadania choćby tylko poprzez zasygnalizowanie pewnych jedynie faktów.

Nieprzypadkową sprawą jest fakt, iż spotykamy się z naszą Świętą Księżną w kościele, który w 1930 r. został konsekrowany na chwałę Bożą obierając sobie za patronkę także św. Kingę. Pierwszą, jak wiemy, jest Matka Boża Nieustającej Pomocy i to już od chwili powstania Komitetu Budowy Kościoła w 1908 r. Wzmianka o św. Kindze znajduje się w wydanej w Krakowie w 1911 r. broszurze zatytułowanej „Przyjaźń polsko-węgierska”. Napisał ją na rzecz budowy kościoła, a z polecenia księdza Wincentego Danka szambelan papieski dr Kazimierz Lubecki. Wybór tej właśnie świętej zawiera wielką mądrość świątobliwego proboszcza.

Św. Kinga należy do tych świętych kanonizowanych w ostatnich latach przez Ojca Świętego, których, jak stwierdził, „Pozostawił nam Pan Bóg na te czasy”. Nie bez znaczenia jest tu fakt jej węgierskiego pochodzenia, podobnie jak i św. Jadwigi Andegawenskiej, która również czekała całe wieki, aby być wyniesioną oficjalnie na ołtarze przez Papieża Polaka.

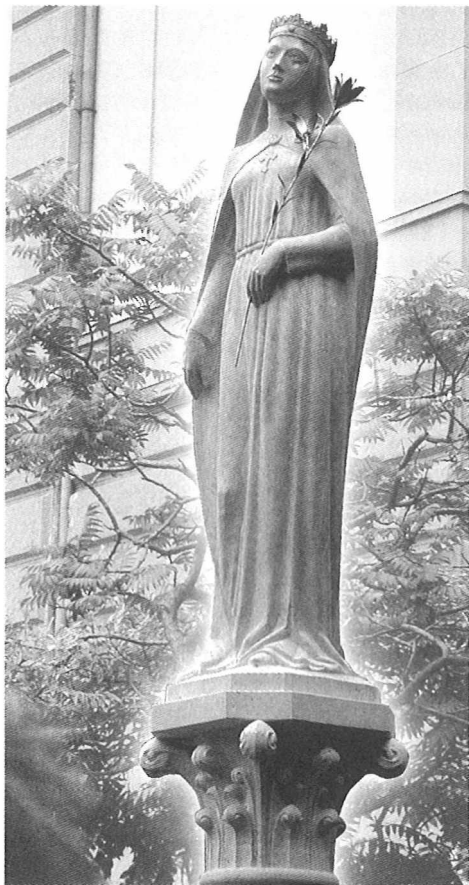
Kim była ta, której imię jest rozstawiane przez wieki przede wszystkim na Ziemi Polskiej, gdzie zrealizowała swą drogę do świętości, ale nie tylko...

Znana jest też pod imieniem Kunegundy czy Kunigundy również na Węgrzech, gdzie przyszła na świat 4 lub 5 marca 1234

r. w Esztergomie w rodzinie króla Béli IV i jego małżonki, Marii z rodu bizantyjskich Laskarisów. Rodzina licząca dziesięcioro dzieci dała Kościołowi aż cztery córki, które zostały wyniesione na ołtarze. Spokrewnione one były z licznymi świętymi wielu krajów Europy, a wzory świętości czerpały z ducha św. Franciszka i św. Klary. Duch ten ogarnął cały ówczesny Kościół, przez co zmienił oblicze Europy, kierując je ku odnowie i prawdziwej wolności ducha. Całkowicie zmieniło się spojrzenie na świat i człowieka. Zaczęła się tworzyć nowa, fascynująca do dzisiaj kultura. Aż do chwili obecnej duch franciszkański należy do najpopularniejszych. Czasy przyjścia na świat św. Kingi należą do bardzo burzliwych i skomplikowanych. Wojny krzyżowe, najeźdy Mongołów – Tatarów na Węgry i Polskę, nieustanny spór o wpływy odnośnie Halicza, ale i jednocześnie dobre układy dworów węgierskiego i polskiego malowały pejzaż ówczesnych czasów. Bogactwo materialne i kulturalne, głębokie życie religijne dworu króla Béli IV, jego osobista inteligencja, wykształcenie, zdolności organizacyjne (przeniesienie stolicy do Budy i budowa zamku królewskiego), szybka odbudowa kraju po najeździe tatarskim, odbudowa klasztorów, będących głównymi ośrodkami nie tylko ekspiacji, ale także nauki i kultury – wszystko to formowało dla małej córki królewskiej naturalne środowisko, w którym stawiała pierwsze kroki. W piątym roku życia została ówczesnym zwyczajem panującym w rodach królewskich i książęcych zaręczona z księciem

sandomierskim Bolesławem, synem Leszka Białego. Zaręczyny odbyły się na zamku w Wojniczu. Małą Kingą zajęła się matka Bolesława, księżna Grzymisława, przy której wzrastała ona w mądrości i świętości, niejednokrotnie dając dowody wielkiej jak na swój wiek mądrości i szczerej pobożności. Szczęśliwe lata na dworze w Sandomierzu przerwał najazd tatarski, przed którym wraz z opiekunami musiała uciekać najpierw do Krakowa, a potem na Węgry. Po zażegnaniu niebezpieczeństwa powróciła do Małopolski i zamieszkała w Nowym Korczynie. Tu spotkała się z Salomeą, siostrą swego przyszłego męża Bolesława, która zafascynowała ją duchowością franciszkańską. Kinga wstąpiła do III Zakonu św. Franciszka. W 1247 r. zawarła ślub z Bolesławem, skłaniając go do dozgonnej czystości małżeńskiej. Miłość swą ofiarowała Jedynemu Oblubieńcowi – Chrystusowi.

Złożone śluby zaowocowały duchowym rodzicielstwem i macierzyństwem wobec ludu, któremu była Panią i Władczynią. Posag swój oddała mężowi, otrzymując w zamian na własność Ziemię Sądecką. Dysponowała także wieloma dobrami otrzymanymi z Węgier od ojca oraz ciłmi z Wojnicza, Opatowca i Korczyna. Oprócz mocnej pozycji majątkowej posiadała także szerokie wpływy polityczne. W stosunkach polsko-węgierskich reprezentowała męża, sygnując dokumenty wagi państwowej. Zajęła się sprawą kanonizacji biskupa Stanisława Szczepanowskiego i św. Jadwigi Śląskiej. Poświęcając się opiece nad chorymi i ubogimi stała się współsiostrą duchową św. Elżbiety zwanej Turyńską, córki króla węgierskiego Andrzeja II, której w rzeczywistości była krewną. To właśnie św. Elżbieta założyła pierwszy w Europie szpital i sama w nim obsługiwała chorych, widząc w nich samego cierpiącego Chrystusa. Innym wspaiałym przykładem dla niej była jej druga krewna, św. Jadwiga Śląska, której kanonizacja to także jej dzieło. Po śmierci męża Bolesława zwanego Wstydliwym w 1279 r. rozpoczął się drugi etap jej życia, w którym całkowicie poświęciła się sprawie bożej, społecznej i kulturalnej. Wyjechała z Krakowa i na stałe pozostała w Sączu, gdzie za sprawą biskupa krakowskiego Pawła założyła klasztor klarysek, przeznaczając na jego budowę całe swoje dziedzictwo. Po kolejnym najeździe Tatarów księżna wraz z siostrami zakonnymi własnymi rękami pracowała przy odbudowie klasztoru. Tu po śmierci nieprzychylnego jej księcia Leszka Czarnego złożyła uroczyste śluby zakonne według reguły św. Klary. Po trzech latach



i roku ciężkiej choroby odeszła do Pana 25 lipca 1292 r. w opinii świętości. Kult jej rozwinął się zaraz po śmierci i trwa nieprzerwanie aż do naszych czasów. Beatyfikacja nastąpiła dopiero w 1690 r. za wstawiennictwem króla Jana III Sobieskiego, który po zwycięstwie pod Wiedniem odwiedził klasztor w Sączu. Zasługi Kingi dla rozwoju Polski są olbrzymie nie tylko odnośnie kultu i rozwoju pobożności, co jest niewątpliwe, gdyż zakładane przez nią klasztory przede wszystkim to miały na celu. Powstałe dzięki niej miasta i wsie z ich strukturą gospodarczą, prowadzona przez nią działalność kulturalna, mecenat nad sztuką – malarstwem, rzeźbą, muzyką, nad piśmiennictwem stawiają ją w awangardzie europejskiej. Postawiła kamienie węgielne pod nową epokę swej wielkiej rodaczce św. Jadwidze Andegawenkiej, która kontynuując idee Kingi wprowadziła Polskę w epokę jej największej świetności – epokę Jagiellonów. Jakże mało, albo nic się nie mówi o tym wielkim darze Węgrów również dla narodu litewskiego. Spróbujmy, choćby pobieżnie porównać te dwie wielkie święte postacie, którym Polska zawdzięcza swą świetność i potęgę. Nie tylko orężem, ale przede wszystkim światłem wiary i nauki zdobywa się prawdziwą potęgę dla narodu i państwa. Ukazały nam tę prawdę dwie, można by rzec, słabe kobiety, ale za to jakiego ducha! Kinga rozmiłowana w modlitwie, mająca przeżycia mistyczne. Jadwiga modlająca się

przed „czarnym krucyfiksem” katedry wawelskiej w mistycznym uniesieniu słyszy słowa Pana „czyń, co widzisz”. Kinga dobrowolnie składa wraz z mężem śluby czystości małżeńskiej, rezygnując tym samym z biologicznego rodzicielstwa na rzecz wyłącznej miłości Chrystusa. Realizuje rodzicielstwo i macierzyństwo duchowe będąc Matką swego ludu.

...Kinga jest miłosierną i litościwą, ale potrafi być nieugiętą wobec moralnego zła. Godzi powaśnione strony, jest orędowniczką pokoju, kochającą ciszę i milczenie.

Kinga jest bardzo aktywną w sprawach gospodarczych. Doprowadza do powstania kopalni soli w Wieliczce i Bochni, wystawia przywilej dla Korczyna, w którym wymienia wszystkie wolności i służebności mieszkańców Sącza, przeprowadzając w ten sposób reformy znoszące ciężary chłopów pańszczyźnianych i robocznę w majątkach.

...Kinga jest rozmiłowana w literaturze, muzyce, śpiewie. To właśnie w jej klasztorze liturgia miała być sprawowana w języku polskim. To tu miał powstać najstarszy tekst polski i znana pieśń rycerska – hymn „Bogurodzica Dziewica”. To tu powstał najstarszy zapis nutowy polifoniczny znany z tego okresu jedynie we Francji w „Ecole de Notre Dame”, najbardziej rozwiniętym w Europie XII i XIII wieku ośrodku wczesnej polifonii. Klasztor klarysek staje się jakby zaczątkiem wiedzy i kultury, która w sposób dojrzały zaistnieje we wszechnicy Jagiellońskiej założonej przez Kazimierza Wielkiego, a zreorganizowanej i wyniesionej do pełnego poziomu europejskiego przez Jadwigę. Słynny jest Psalterz Kingi. Zachował się także trójjęzyczny Jadwigi, w którym znajduje się również i polski tekst.

Kinga dbała także o jedność Królestwa Polskiego i ród Piastów, interesowała się losami swojej ojczyzny, ale także Rusi, i Litwy. Dla wszystkich pragnęła być taką samą. „Święci nie przemijają” – stwierdził Papież w homilii Mszy św. kanonizacyjnej w Starym Sączu. „Kiedy wpatrujemy się w postać św. Kingi budzi się zasadnicze pytanie: Co uczyniło ją taką poniekąd nieprzemijającą postacią? Co pozwoliło jej przetrwać w pamięci Polaków, w szczególności zaś w pamięci Kościoła? Jakie jest imię tej siły, która opiera się przemijaniu?

Imię tej siły brzmi: miłość. „Miłość Boskiego Oblubieńca”, która w życiu księżnej Kingi wyraziła się tylu czynami miłości bliźniego. To właśnie ta miłość sprawiła, że przemijanie, któremu poddany jest każdy człowiek na ziemi nie zatarło jej pamięci. Po tylu wiekach kościół na ziemi pol-

skiej daje temu wyraz. „Święci żyją świętością i pragną świętości”. Dwie wielkie kobiety – Węgierki z rodu Arpadów i Andegawenów stają u progu nowego tysiąclecia ukazując drogę ku autentycznej jedności i pokoji, wielkości nie tylko naszych po-bratymczych narodów, ale i krajów ościen-nych. Czerpiąc z tego dziedzictwa, jakie nam przekazały, winniśmy uświadomić sobie, jak bardzo jesteśmy dłużni zwłaszcza w dobie dzisiejszych przemian, kiedy to Kościół węgierski z tak wielkim trudem podnosi się z ruin, do których został doprowadzony przez totalitaryzmy ostatnich dziesiątków lat. Jakże bardzo winniśmy czuć się odpowiedzialni w sumieniu i w duchu wdzięczności za to wielkie dziedzictwo naszej kultury oraz wartości religijne, które w wielkiej mierze zawdzięczamy właśnie św. Kindze i św. Jadwidze.

Powróćmy teraz do tej świątyni, w której zebraliśmy się, aby uroczystie rozpocząć Sympozjum Historyczne oraz Dni Polskiej Kultury Chrześcijańskiej na Węgrzech. W tej bardzo pobieżnej wędrówce historycznej chciałem jedynie zasygnalizować, jak wspaniała i ważna historycznie i religijnie postacią jest św. Kinga, która realizując autentyczne wartości ewangeliczne w duchu franciszkańskim stała się prawdziwym głosicielem i realizatorką idei humanizmu, poszanowania wielkości i wartości człowieka oraz bogactwa, jakie sobą reprezentuje. Nie bez powodu zatem założyciel tej świątyni obrał za patronkę tę właśnie świętą. Mogła stać się przemożną orędowniczką u Boga, ale i przykładem sprawowania posługi duszpasterskiej wobec przybyłego za chleben ludu Bożego do Ojczyzny tej, która była mu nie tylko Panią, ale i matką Ziemi Krakowskiej. To właśnie z terenów Archidiecezji Krakowskiej napływała biedota, której trzeba było stworzyć, właściwie z niczego, dom, małą ojczyznę. Tym miejscem stał się kościół i Dom Polski, który stawiał ks. Danek, oddając wszystko, co miał, stając się w duchu franciszkańskim tak ubogim jak i ludzie, którzy tu się znaleźli. Chciał ich podnieść z upodlenia upadków moralnych i oświecić znajomością zasad wiary i języka oraz dziejów ojczy-sztich. Niech to święte miejsce będzie nadal skarbnicą tych wartości, których spadkobiercami i nosicielami winniśmy być dla przyszłych pokoleń, wszak temu celowi służy z woli Bożej jak i fundatorów ten ośrodek duszpasterski w sercu Węgier.

Niech więc realizuje się prawda głoszona przez Świętych, iż wielkość i potęga, godność i dobro, pokój i poszanowanie człowieka znajdują swe źródło w potęgę ducha i rzetelnej wiedzy.

"STOLICA WĘGIER NIE MA CHYBA POPULARNIEJSZEGO ŚPIEWAKA NAD JANA KIEPURĘ. STĄD PRZED LATY RUSZAŁA JEGO ŚWIATOWA KARIERA I ZAWSZE POWRACA TU Z CORAZ NOWYMI LAURAMI". TAK PISAŁ O NIM DZIENNIK "ÚJSÁG" Z 13 CZERWCA 1939 R. SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN POLSKIEGO ŚPIEWAKA OBCHODZONO GODNIE W WARSZAWIE I W WIEDNIU. RODZINNY KRAJ POSTAWIŁ MU POMNIK I WKRÓTCE ODBĘDZIE SIĘ FESTIWAL NA JEGO CZEŚĆ.

■ Zdaniem wielu Polaków to nie Luciano Pavarotti lecz właśnie Jan Kiepura był tym, który jako pierwszy – doceniając rolę autoreklamy i public relations – w stylu dzisiejszych gwiazd estrady starał się pozyskać coraz szersze rzesze miłośników opery. Często wychodził poza mury teatru, by z balkonu hotelu, z dachu samochodu czy z innych okazjonalnych estrad urzekać swym głosem melomanów.

Kiepura ujrzał świat 16 maja 1902 roku w Sosonowcu. Ojciec widział w nim przyszłego prawnika i Jan z jego też woli podjął naukę na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ale w tajemnicy przed ojcem uczył się także śpiewu. Pierwsze swe sukcesy odnosił w kręgach kucharek i pokojówek śpiewając im z okna swego stancyjnego pokoju. Uzdolnienia śpiewacze mógł odziedziczyć po babce, która śpiewała w kościelnym chórze. Jego młodszy o dwa lata brat Władysław także wybrał karierę śpiewaka, ale żeby nie odbierać laur bratu, występował pod pseudonimem. Choć jego talent był skromniejszy nie był zazdrosny o sukcesy brata, ale gdy tylko nadarzała się okazja, podpuszczał Jana. Pewnego razu zatelefonował do niego i odezwał się tymi słowami: – *Halo! Tu mówi największy polski tenor. Jan natychmiast zareagował repliką z humorem: – Do diabła! Czyżbym wykreślił własny numer?*

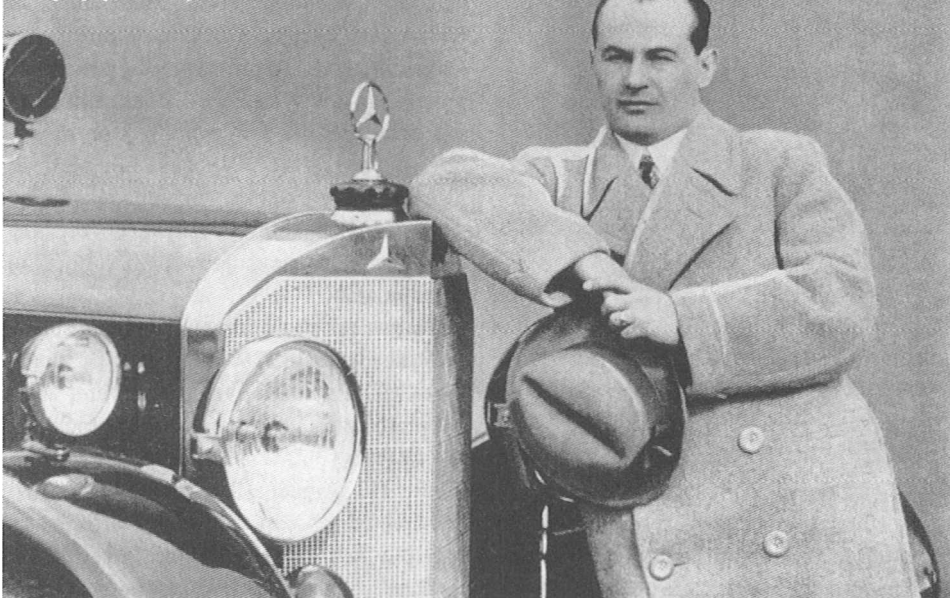
Mistrz Kiepury, Wacław Brzeziński wprowadził młodzieńca do chóru warszawskiego Teatru Wielkiego i wkrótce ten otrzymał mały epizod w 3 akcie *Halki*. Młody talent uznał, iż nie może być lepszej okazji dla przebiccia się do śpiewaczej czołówki, więc końcówkę frazy pociągnął na ile tylko dech mu pozwolił. Czekaający na wejście odtwórca głównej roli pienieł się ze złości, natomiast publika – złożona w Niemalej części z kolegów z roku i przyjaciół – wiwatowała. Po przedstawieniu dyrektor teatru wezwał Kiepurę do siebie, zdrowo ochrzanił i wylał z zespołu. Dowiedziawszy się o zajściu, a ponadto także o przerwaniu studiów, srogi ojciec – jak głosi fama – złożył swej latorośli skórę, ale nie był już w stanie przerwać mu drogi do dalszej kariery.

W 1925 roku Jan próbuje szczęścia we Lwowie. Przed publicznością wielowieżowego, wietrznego miasta odtworzył Fausta pozyskując ogromny aplauz i niekończące się brawa. Wieść o wydarzeniu spowodowała zaproszenie go do Warszawy, gdzie zaproponowano mu kontrakt. Kiepura za-

Na Centenarium Jana Kiepury

NIE Z NUT UCZYŁ SIĘ ARII

Dwaj najlepsi: On Kiepura i Mercedes. Fot. Arch.



życzył sobie honorarium takie, jakie otrzymywali dwaj czołowi tenorzy Teatru Wielkiego. Dyrektor Emil Młynarski uznał je za wygórowane. Młody artysta, znając już wówczas swą wartość, poczuł się obrzony i ruszył do Wiednia.

Z wielką pewnością siebie zapukał do drzwi gabinetu dyrektora-dyktatora tamtejszej Opery Franza Schalka i odśpiewał mu arię Cavaradossiego z *Tosci*. Schalk natychmiast chciał zawrzeć z nim kontrakt, ale Kiepura – tak, jak w Warszawie – zażyczył sobie honorarium pierwszego tenora tej sceny, Leona Slezaka. Dyrektorowi krew uderzyła do mózgu i kazał Kiepurze natychmiast opuścić gabinet. Na co ten od progu rzucił z lekka: Przyjdiesz Waćpan jeszcze do mnie z propozycją, i to niebawem!

Ledwie on wyszedł, do gabinetu dyrektora zajrzała primadonna Maria Janitza, znana też ze swej niezaspokojonej żądzy miłosnej, i zapytała kim jest ten uroczy młodzieniec, którego spotkała na korytarzu. Słyszcząc odpowiedź oświadczyła, że w wystawianej nazajutrz *Tosce* wystąpi tylko pod warunkiem, gdy chorującego właśnie Slezaka zastąpi Kiepura. Schalkowi nie pozostało więc nic innego jak wziąć kapelusz i w towarzystwie swego sekretarza odszukać Kiepurę w hotelu. Jana nie zdziwiła bynajmniej ta wizyta i nim dyrektor mógł

się odezwać choć słowo, zwycięsko wykrzyknął: – A nie powiedziałem, że Waćpan jeszcze do mnie przyjdiesz?

Austriacy krytycy i zagraniczni korespondenci z zachwytem pisali o występie Kiepury, uznając go za następcę Caruso. Podbił on też serca wiedeńskiej publiczności i „der junge, schöne Polen” mógł opuszczać co wieczór teatr tylko „korytarzem” policyjnego kordonu. Tylko że dwa, bynajmniej nie pałający do siebie sympatią, tenorzy tej sceny, Leon Slezak i Alfred Piccavera, wytoczyli wspólną walkę polskiemu konkurentowi podsuwając, prasie brukowej masę plotek i stek oszczerstw przeciwko niemu. (W 60 lat później, w 1989 roku wiedeńczycy godnie przeprosili Kiepurę stawiając mu, jako pierwszemu w Statoperze popiersie w galerii popiersi światowych sław.)

Rozgoryczony Kiepura opuszcza Wiedeń i angażuje się w Berlinie. Podobnie jak w Wiedniu, także i tu, już pierwszego wieczoru podbija swym występem świat artystyczny i publikę, tym razem *Rigolettem*. Jego nazwisko było wtedy już wysoko notowane w całym świecie i mógł wybierać spośród przedkładanych mu propozycji. W towarzystwie Lotte Lehmann i Fiodora Szalapina odbywa tournée na trasie Monachium-Lipsk-Londyn, a w 1928 roku zo-

stawia swą wizytówkę także w Mediolanie grając w *Turandot*. Budapeszt Kiepusa odwiedził wcześniej, bo w 1926 roku, kreując Fausta. „Głos młodego polskiego śpiewaka rzeczywiście zauracza” – wynosił go na wyżyny István Péterfi na łamach gazety „Magyar Hirlap”. – Jest to silny tenor o szerokiej skali, równomierny w każdym rejestrze, potrafiący łagodnie oddać frazy i z lekkością wzlatający na najwyższe tony skali”. Potem Kiepusa kilkakrotnie jeszcze gościł w węgierskiej stolicy. W czerwcu 1939 roku zabłysnął Cavaradossim w *Tosce*, wystawionej w Teatrze Miejskim. Arię listu przyszło mu wtedy bisować trzykrotnie. Po tym występie właśnie ukazały się cytowane na wstępie słowa znanego krytyka muzycznego Istvána Péterfi, którego opinię niekoniecznie podzielano w Warszawie, Wiedniu czy gdzieindziej. Natomiast nie mogło ulegać dyskusji stwierdzenie, że „...z uwagi na węgierską małżonkę, Martę Eggerth, uważa się w połowie związany z nami.” Swą przyszłą żonę, wówczas znaną już primadonnę operową, Kiepusa poznał w jednym z londyńskich studiów w 1934 roku. W dwa lata później ślubowali sobie dożgonną wierność w Katowicach a z ich nienagannego pożycia małżeńskiego zrodziło się dwóch synów: Jan i Marian.

Uroda Kiepusy procentowała mu też w filmie. Po raz pierwszy przed kamerą stanął w 1930 roku w filmie *Śpiewające miasto*, zrealizowanym w koprodukcji niemiecko-angielsko-włoskiej.

W 1938 roku otworzyła się przed nim scena Metropolitan. W rok później przeniósł się na stałe do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie występował coraz rzadziej. W USA wystawił z dużym sukcesem dwie operetki, *Wesołą wdówkę* i *Krajinę uśmiechu*, w których jego partnerką była Marta Eggerth. Zdaniem specjalisty biografii Kiepusy Bogusława Kaczyńskiego obie operetki w niczym nie ustępowały opatrzonym wówczas świat musicalom.

Jan Kiepusa zmarł nagle w sile wieku na atak serca 16 sierpnia 1966 roku w Harrison w pobliżu Nowego Jorku. Zgodnie z jego ostatnią wolą pochowany został w Warszawie, którą mógł jeszcze odwiedzić w 1965 roku. Jego pamięć najwierniej zachowuje po dziś dzień Marta Eggerth, która 17 kwietnia ukończyła 90 lat. Wdowa, podobnie jak wielu innych znawców przedmiotu, uważa, iż gdyby jej mąż urodził się o kilkadziesiąt lat później, dziś mógłby swym śpiewem sprawić radość miłośnikom opery wspólnie z Luciano Pavarottim i Plácido Domingiem.

László Ábrán

Miłości, miłości ty żałów przyczyno

„Miłość- głębokie przywiązanie do kogo lub czego; namiętne uczucie sympatii do osoby płci odmiennej, połączone z pożądaniem jej” – tak określa to hasło Mały Słownik Języka Polskiego PWN.

■ 22 czerwca w siedzibie Stowarzyszenia wystąpił z wielkim powodzeniem znany nam już dobrze zespół Teatru Niewielkiego z Warszawy, przedstawiając tym razem spektakl zatytułowany *Miłości, miłości ty żałów przyczyno...*, na który złożyły się fragmenty scen miłosnych ze sztuk najwybitniejszego chyba komediopisarza polskiego – Aleksandra Fredry: *Ślubów panińskich*, *Pana Jowialskiego*, *Męża i żony*, *Dam i Huzarów* oraz *Zemsty*. Aktorzy: Danuta Nagórna, Małgorzata Kaczmarek i Adam Bauman na oczach widzów zmieniali elementy kostiumów i charakteryzację, przechodząc tym samym z jednej sztuki do drugiej. A przerwy między nimi wykorzystwała Katarzyna Dudek-Kostrzewa, wykonując na flecie utwory muzyczne Mozarta. Spektakl reżyserował Andrzej

Ferenc, zaś scenografia i kostiumy są dziełem Liliany Jankowskiej. Przedstawienie *Miłości, miłości ty żałów przyczyno...* było drugą (po *Beniowskim* wg poematu Juliusza Słowackiego) premierą powstałego w 1991 r. przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym prywatnym teatrzyku grupy przyjaciół. Za granicą z przedstawieniem tym wystąpili między innymi w Wiedniu, Niemczech, Paryżu, a obecnie u nas w Budapeszcie. Dla przypomnienia dodam, że Teatr Niewielki pokazał nam już w poprzednich latach *Beniowskiego* i *Miłości Fryderyka*. W swoim repertuarze ma natomiast jeszcze spektakl poetycki *...myśli z dźwiękiem się uniosły*, na który składają się fragmenty utworów Adama Mickiewicza: „Pana Tadeusza” oraz niektórych ballad i sonetów, a także przedstawienie przygotowane dla uczczenia rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego, w którym wykorzystano *Redutę Ordona* Adama Mickiewicza i fragmenty sztuk Stanisława Wyspiańskiego *Nocy Listopadowej* i *Warszawianki*. Aktualnie Danuta Nagórna i Małgorzata Kaczmarek pracują nad komedią Andrzeja Brauna. Jest więc nadzieja, że publiczność nasza, która zdążyła się już zaprzyjaźnić ze znakomitymi artystami warszawskimi, z pewnością będzie miała okazję nieraz jeszcze spotkać się z nimi. Póki co dziękujemy im serdecznie za już i prosimy o jeszcze.

Alicja Nagy



■ Powyższe zdjęcie rejestruje pewien fakt dokonany – wspólną kolację w dzielnicy Rákospert. Zdarzyło się, że kilku polonistów z naszego Stowarzyszenia dostało zaproszenie od wcześniej nieznanego im osoby (od Pani Árvai) na kolację w gronie przybyłych do niej polskiej rodziny. Jak się okazało, gospodyni wieczoru działa w miejscowej fundacji, która prowadzi

skromne schronisko noclegowe. Do tego właśnie schroniska trafiła drogą internetową polska rodzina. Gościenna gospodyni uznała, iż sprawi jej przyjemność zapraszając na wspólną kolację kilku polonistów. Stało się wedle jej zamiaru. Ot, taki wspaniały gest. Dziękujemy! (Szczegółowych nazw i nazwisk nie podaję, by nie posądzono nas o reklamę.)

VÉGE AZ ETNOBIZNISZNEK?

■ Az októberi települési és kisebbségi önkormányzati választásokon 1962 településen és nagyvárosi kerületben vesznek részt kisebbségi jelöltek. Ez negyven százalékos növekedést jelent.

Hasonlóan nagy az érdeklődés a lengyel kisebbség körében. Az etnobiznisz további várható eszkalációjával – amire előző számunkban már utaltunk – megpróbálnak szembeszállni a különféle nemzetiségek, és.... végre az állami szervek is felfigyeltek erre a jelenségre.

A szlovákok és a horvátok külön választási etikai kódexet dolgoztak ki. Az örmények úgy vélik, hogy egy ilyen vagy hasonló szabályzatra szüksége lenne minden kisebbségnek. Mi a jelöltjeinket kiválasztó bizottság munkájába társadalmi szervezeteink (Bem és Szent Adalbert egyesületeinek) képviselőit is bevontuk. Csak sajnálhatjuk, hogy nem alakult ki teljes egyetértés eb-

ben az ügyben. (Szemlátomást nem mindenki akarja levonni az előző két választási ciklus tanulságait.)

Arról, hogy miképp igyekeznek gátat szabni az etnobiznisznek és más káros megnyilvánulásoknak a közelgő választásokon, Heizer Antal, a Nemzeti és Etnikai Kisebbségi Hivatal elnöke nemrég nyilatkozott a Magyar Nemzet hasábjain: „az idén sokkal nagyobb eséllyel tudjuk felvenni a harcot azokkal szemben, akik az általános választások révén létrejövő kisebbségi önkormányzatiság intézményét esetleg személyes anyagi haszonszerzésre kívánnák felhasználni... nagyon határozottan kívánunk fellépni azokkal a kisebbségi önkormányzatokkal szemben, amelyekre bármilyen okból is rávetül az etnobiznisz árnyéka.”

Másik oka lehet az etnobizniszmenek „önmegtartóztatásának” az az eskü, amellyel egyértelműen meg kell vallani a nemzeti-ségi hovatartozást.

Vajon véget vetnek-e mindezek az eszközök és módszerek az etnobiznisznek? Személy szerint kételkedem ebben, legfeljebb csupán lelassíthatják a folyamatot. A végleges választ a választási eredmények, különösen pedig a megalakuló önkormányzatok tevékenysége adja meg majd.

Jerzy Królikowski

VÁLASZTÁSOK ELŐTT

■ A lengyelek ezer éve lakják a magyar földet. Gyakoriak voltak az Árpádok és a Piastok közötti dinasztikus házasságok, de jöttek dolgozni is eleink a Duna-Tisza tájára, nemegyszer pedig segítségére siettek a magyaroknak a törökök és a Habsburgok elleni harcukban. A XVIII. században még falut is alapítottak Sacz környéki favágók Borsodban, Derenk néven. A XIX. század második felétől kezdve sokan kőbányákban, Pesten, Tatán és Tatabányán találtak maguknak munkát.

A II. világháború idején csaknem száznegyvenezer lengyel menekült töltött el hosszabb-rövidebb időt Magyarországon, némelyek közülük végleg itt maradtak. Az utóbbi évtizedekben viszont az úgynevezett szívemigráció révén szaporodtak meg a magyarországi lengyelek. Egészen a legutóbbi időig tíz-tizenkétezerre becsülték a számukat. Az év elején megtartott népszámlálás azonban alig háromezret mutatott ki. Ez a helyhatósági választások küszöbén különösen furcsának tetszik, annál is inkább, mert a korábbi harminckettővel szemben most ötvenhat településen kezdeményezték lengyel önkormányzat létrehozását, még olyan helységekből is, ahol a

népszámlálás során senki nem vallotta magát lengyel származásúnak, senkinek nincs kapcsolata kultúránkkal, s senki nem ismer még két-három lengyel szót sem. Sokan tapasztalatból tudjuk, hogy a népszámlálás körül nem volt minden rendben: leggyakrabban, ha csak magunk nem utaltunk rá, nem érdeklődtek nemzeti hovatartozásunk felől, s előfordult az is, hogy a kocsmában írták össze az adatokat a számlálóbiztosok.

Borod-Abauj-Zemplén megyében tizenhat lengyel önkormányzat alapítását kezdeményezték, holott közülük hétben egyetlen ember sincs, akinek a legcsekélyebb köze lenne a lengyelséghez, a lengyel kultúrához. Budapesten előreláthatólag tizenhat kerületben – az I., a II., a IV., az V., a VII., a VIII., a X., a XI., a XIII., a XIV., a XV., a XVI., a XVII., a XVIII., a XIX. és a XXI. kerületben – jön létre lengyel önkormányzat. Legtöbbször a II., a IV., a X., a XI., a XIII., a XIV. és a XVIII. kerületben vallották magukat lengyelnek. Tartok azonban attól, hogy önkormányzati képviselőnek jelöltették magukat olyanok is, akik legfeljebb annyit tudnak rólunk, hogy Lengyelország fővárosa Varsó.

NEM KOTTÁBÓL TANULTA AZ ÁRIÁKAT

■ „Jan Kiepuránál alig van népszerűbb énekes a magyar fővárosnak. Évekkel ezelőtt innen indult el világhódító pályája és mindig újabb diadalokkal tért ismét vissza”. (Újság, 1939. június 13.) A száz éve született lengyel tenorról Varsóban és Bécsben egyaránt megemlékeztek. Szülőházájában szobrot is állítottak neki, hamarosan pedig fesztivált rendeznek tiszteletére.

A lengyelek szerint nem Luciano Pavarotti, hanem Jan Kiepura volt az első, aki a popsztárok stílusában, az önreklám és a public relations jelentőségét felismerve, igyekezett minél több hívet szerezni az operának. Gyakran kilépett a dalszínházak falai közül, s szállodák erkélyéről, gépkocsik tetejéről és más alkalmi pódiumokról búvólte el hangjával rajongóit.

Kiepura a felső-sziléziai Sosnowiecben látta meg a napvilágot 1902. május 16-án. Pékmester apja jogásznak szánta, s Jan be is iratkozott a varsói egyetemre, de titokban énekelni is tanult. Első sikereit szakácsnőknél és cseléd lányoknál érte el, hónapos szobája ablakából énekelve nekik.

Tehetségét minden bizonnyal nagyanyjától, egy templomi kórus tagjától örökölte. Két évvel fiatalabb fivére, Władysław ugyancsak az énekesi pályát választotta, de álnevet használt, nehogy elorozza bátyja babérait. Habár szerényebb képességekkel áldott meg, nem volt feltékeny rá, inkább, amikor csak tehetette, ugratta. Egy ízben például felhívta telefonon. – Halló! Itt a legnagyobb lengyel tenor – szolt a kagylóba. Bátyja nyomban vette a lapot, s visszareplikázott: – A pokolba is, csak nem saját magamat hívtam fel?

Az ifjú Kiepurát mestere, Wacław Brzeziński beajánlotta a varsói Nagyszínház kórusába, s nem sokkal később már egy pár szavas szerepet is kiosztottak rá a Halka, a legismertebb lengyel opera harmadik felvonásában. A törekvő művészpálánta úgy gondolta, jobb alkalom nem kínálkozhat számára, hogy betörjön az élvonalba, s a frázis végére érve, ameddig csak tudta, kitartotta a hangját. A sorára váró főszereplő fuldoklott a dühtől, a közönség viszont, amely nem kis részben diáktársaiból és barátából tevődött össze, tombolt. Az előadás után az igazgató magához hívatta,



összeszidta, s kitette a szűrőt. A fáma szerint erre vérmes atyja, ráadásul jogi tanulmányai megszakításáról is értesülve, botot ragadott, s eldöngötte nagy reményű ivadékat, de – már nem állhatta útját.

Jan Varsó után – az akkor Lembergnek nevezett Lwówban – próbált szerencsét 1925-ben. Faustként mutatkozott be a soktornyú, szeles város közönségének, amely hosszan tartó, fergeteges tapssal jutalmazta briliáns alakításáért. Ennek hírére visszahívták Varsóba, s szerződést ajánlottak neki. Ugyanannyi gázsit kért azonban, mint amennyit a Nagy Színház két vezető tenorja kapott, de Emil Młynarski, az igazgató sokallotta ezt. A fiatal művész, aki ekkor már tisztában volt a maga értékével, önértékében sértve vonatra ült, s Bécsbe utazott. Magabiztosan bekopogtatott Franz Schalkhoz, az Opera nagy hatalmú igazgató-diktátorához, s elnökelt neki Cavaradossi áriáját a Toscából. Schalk azonnal szerződtetni akarta, de Kiepusa csakúgy, mint Varsóban, az első tenornak – Leo Slezáknak – fizetett gázsira támaszkodott igényt. A direktornak fejébe tódult a vére, s kiutasította a szobájából. Kiepusa hetykén visszazsolt a kúszóból: – Tesz Ön még ajánlatot nekem, még hozzá hamarosan!

Alighogy távozott, Maria Janitza, a társulat csillagpárhuzamos szerelmi étvágyáról is ismert primadonnája nézett be az igazgatóhoz, s megkérdezte, ki volt az a csinos fiatalember, akivel a folyosón találkozott. A válasz hallatán kijelentette, hogy csak úgy hajlandó másnap fellépni a Toscában, ha Kiepusa helyettesítheti a beteg Slezákot. Schalk nem tehetett mást, mint fogta a kalapját, s titkára társaságában felkereste Kiepusát a szállodájában. Jant szemlátomást nem lepte meg a látogatás, s mielőtt még az igazgató megszólalhatott volna, diadalmasan harsogta feléje: – Nem megmondtam, hogy jön még Ön az én utcámba? Az osztrák kritikusok és a külföldi tudósítók elragadtatottan számoltak be alakításáról, s kikiáltották Curuso utódának. A bécsi

közönség is kegyeibe fogadta, s a „der junge, schöne Pole” csak úgy tudta elhagyni esténként a színházat, ha rendőrkordont vontak a kijárat elé. Ámde az operaház két, egymást távolról sem szenvedhető tenorja, Leo Slezák és Alfred Piccavera összefogott ellene, s sugalmazásukra a bulvárlapok pletykák, rágalmak tömkelegét hordták össze lengyel ellenlábaskról. (Hatvan évvel később, 1989-ben a bécsiek méltó módon megkövették azzal, hogy a Statsoperben – elsőként annak világhírűvé vált énekesi közül – felállították a mellszobrát.)

Kiepusa keserű szájjal szedte a sátorláját, s Berlinbe szerződött. Itt is, mint Bécsben, egy este meghódította a művészeket és a publikumot egyaránt, ezúttal a Rigolettóval. Nevét ekkor már sokfelé jegyezték a világban, válogathatott az ajánlatokban. Lotte Lehmannal és Fjodor Saljapinnal Münchenben, Lipcsében és Londonban turnézott, majd 1928-ban, a Turandot Kalafjaként Milánóban is letette a névjegyet. Budapestre még a kezdet kezdetén, 1926-ban ellátogatott, szintén a Fausttal. „A fiatal lengyel énekes hangja valóban varázsszerűen megvesztegető orgánus – magasztalta fel a Magyar Hírlapban Péterfi István. – Széles terjedelmű, minden regiszterében egyenletesen fényes, erőteljes tenor, mely hajlékonyan puhán közvetíti a frázisokat és magasságában is a legnagyobb könnyedséggel szárnyal”. Később sem kerülte el a magyar fővárost: 1939. júniusában a Tosca Cavaradossijaként remekelt a Városi Színházban, csak a levélátiát háromszor ismételve meg. Ekkor írta róla Péterfi István a neves zenekritikus a mottonkban idézett sorokat, bár Varsóban, Bécsben és talán másutt is, bizonyára nem teljesen azonosultak véleményével. Azt a megállapítást viszont, hogy „... most már magyar felesége, Eggerth Márta révén félig hozzánk tartozónak vallja magát” – aligha vitatták volna.

Kiepusa öt évvel korábban, 1934-ben ismerte meg jövődöbelijét, a híres operett-primadonnát egy londoni filmstúdióban. Két évre rá, 1936-ban Katowicében esküdtek meg, s mindhalálig tartó, példás házasságukból két fiúgyermek született: Jan és Marian.

A kitűnő megjelenésű Kiepusa akkor már filmszínészként is kamatoztatta tehetségét. Első ízben 1930-ban, *Az éneklő városban* állt a felvevőgép elé, amely német-angol-olasz koprodukcióban készült.

Nemzetközi hírneve 1938-ban megnyitotta előtte az utat Metropolitan felé is, egy év múlva le is telepedett feleségével New-Yorkban. A háború után mind ritkábban lépett fel. Nem könnyítette meg fel-

készülését szerepeire az sem, hogy mint tulajdonképpeni autodidaktának nem kottából, hanem hallás után kellett megtanulnia őket. Így saját színházi vállalkozásba kezdett. Jó üzleti érzékének köszönhetően óriási jövedelemre tett szert olyan sikerdarabok színpadra vitelével, mint *A víg özvegy* és *A mosoly országa*. Mindkettőben Eggerth Márta volt a partnere. Életrajzírója, Bogusław Kaczyński szerint egyik operett sem maradt alul az akkortájt uralkodóvá vált musical műfajával szemben.

Alkokotó ereje teljében hirtelen, szívrohamban halt meg 1966 augusztus 16-án a New-Yorkhoz közeli Harrisonban. Utolsó kívánságának megfelelően Varsóban temették el, amelyet még egyszer életében, 1965-ben viszontláthatott. Emlékét leghívebben máig Eggert Márta őrzi, aki április 17-én töltötte be kilencvenedik évét. Az özvegy sokakhoz hasonlóan meggyőződéssel vallja, hogy ha pár évtizeddel később születik a férje, ma Luciano Pavarottival vagy Plácido Domingóval együtt énekelhetne az operabarátok örömeire. *Ábrán László*

Összetöppedt Polonia

■ Bizonyára sokan vagyunk, akiket szerfölött megleptek a legutóbbi magyarországi népszámlálás eredményei. Mindössze 2962 lengyelt írtak össze ugyanis a kérdezőbiztosok!!! Ugyanakkor a korábbi felmérések tíz-tizenkétezerben, a még merészebb becslések pedig tizenötezerben adták meg a lélekszámunkat. Hová tűntek el tehát több ezren közülünk?

Nem tartom nagyon valószínűnek, hogy ennyien megtagadták volna a származásukat, bár egy-egy esetben ez sem zárható ki. Inkább arról lehet szó, hogy a számlálóbiztosok felületesen látták el a munkájukat. Ezt látszik igazolni az, hogy nem mindig kérdeztek rá a nemzetiségre, kivált ha olyan nőkkel kerültek szembe, akik férjük után gyakori magyar nevet viselnek. Az összeírók felületességre utalhat az a tény is, hogy az összeírás szerint Magyarországon csak 190 ezer roma etnikum él! Akárhogy is történt, a legközelebbi népszámlálásig, mely, tíz év múlva esedékes, hivatalosan kevesebben leszünk!

Lám, lám, magyarországi lengyelség! „összetöppedtél”, mint az aszalt szilva. Mindazonáltal maradjunk meg ama meggyőződésünkben, hogy pár ezerrel többen vagyunk, mint amennyit az össze(le)írók kimutattak.

w telegraficznym skrócie

■ W zorganizowanym w Lublinie od 28 lipca do 10 sierpnia Kursie Tradycji i Kultury Polskiej z elementami tańca wzięła udział sekretarz Stowarzyszenia, Wanda Mészáros, od roku prowadząca w „Bemie” zajęcia szkolne z dziećmi i młodzieżą polonijną.

We wrześniu natomiast reprezentowała ona Stowarzyszenie na konferencji oświatowej w Krakowie.

■ W przeddzień Święta Narodowego i Kościelnego Węgier prezes „Bema” Alicja Nagy została zaproszona wraz z przewodniczącym OSMP, Konradem Sutarskim i SSMP, Ewą Rónay do Istvánmajor na tzw. spotkanie poderenkowskie, w którym wzięli udział mieszkańcy i innych wsi, wywodzących się z Derenku. Przy okazji Alicja Nagy spotkała się z młodzieżą z Istvánmajor, z którą przed laty jeździła na kolonie do Polski.

■ W roboczym spotkaniu przedstawicieli organizacji polonijnych z krajów Europy Środkowej i Południowo Wschodniej, będącym kontynuacją ubiegłorocznego spotkania w Budapeszcie wzięli udział w imieniu Polonii węgierskiej Elżbieta Molnár-Cieślewicz, prezes Polskiego Stowarzyszenia p.w. Św. Wojciecha i Alicja Nagy, prezes naszej organizacji.

■ W dniu 18 września w siedzibie Stowarzyszenia wybitny historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisław Maria Jankowski opowiedział zebranim o swych badaniach w sprawie inwazji Sowiec na Polskę w 1939 r. Zaznajomił on z wieloma ukrywanymi przez lata szczegółami tej napaści.

■ W dniu 14 października o godz. 11 przy ul. Ráday 22 odbędzie się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej wielkiemu przyjacielowi Polaków, autorowi pomnika gen. Józefa Bema, Jánosowi Istókowi. Tablica wykonana została z inicjatywy Społecznego Komitetu Fundacji Tablicy Pamiątkowej ze składek zebranych przez Komitet.

■ Redakcja otrzymała list Janiny Węgrzyn zd. Kludacz z Krosna z prośbą o pomoc w odnalezieniu jej krewnych. Jej pradziadek i brat pradziadka, Feliks i Wojciech Kludacz, obaj rdzenni Węgrzy, osiedlili się w Polsce. Poszukuje ona potomków synów Wojciecha - Karola i Alojzego Kludaczów, zamieszkałych przed II wojną światową w Budapeszcie. Jeżeli ktoś z PT Czytelników zna lub natrafi na ślady prowadzące do potomków Kludaczów, prosimy o kontakt z redakcją

Na Kościół

■ Już wkrótce pięknie odbudowany, a raczej zbudowany na nowo Dom Polski otworzy swoje podwoje przed naszą Polonią. Może wówczas bardziej zapełni się też nasz jedyny na węgierskiej ziemi Polski Kościół p.w. Najświętszej Marii Wspomożycielki.

Budynek kościoła, szczególnie w latach komunizmu uległ dewastacji, zniszczeniu, wyłoniły się poważne usterki budowlane. Pierwsze prace remontowe kościoła rozpoczął jeszcze ks. Maciej Józefowicz, przybyły tu w 1989 roku. Kontynuował je pierwszy proboszcz Polskiej Parafii Personalnej, ks. Józef Wojda TChR, dzięki któremu odnowione zostało wnętrze kościoła. W latach proboszczostwa ks. Marka Zygałto (1993-98) Marian Trojan dokonał napraw witraży, oraz wzmocniono fundamenty. Obecnie, jak dobry gospodarz, dba o poprawę stanu świątyni ks. Zbigniew Czerniak TChR. Od momentu jego przybycia w lipcu 1998 r. wykonano remont organów i nagłośnienie kościoła, remont schodów prowadzących do kościoła, zakrystii, założono centralne ogrzewanie, wyłożono marmurem prezbiterium, dokonano dalszych zabezpieczeń przed pęknięciami i osuwaniem się kościoła i prowadzone są prace odnawiania elewacji

**Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu zgonu męża
JÓZSEFA HEGEDŰSA
Barbarze Hegedüs składa
Zarząd Stowarzyszenia i Redakcja**

*

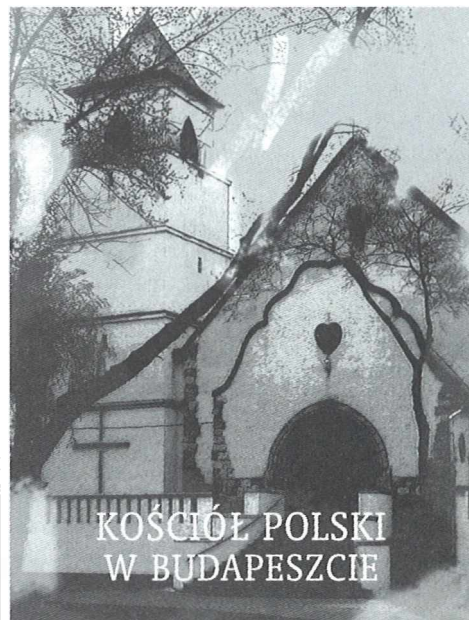
**Ze smutkiem informujemy, że
opuściła na zawsze naszą społeczność
IRENA BRUZDA-SCHEIDTNÉ
Pokój Jej duszy!**

*

**Z głębokim żalem
powiadamy o zgonie
ATTILI DÁVIDA
Jego przedwczesna śmierć uszczupliła
grono polonijnych twórców
Cześć Jego pamięci!**

GŁOS POLONII

GŁOS POLONII • Pismo Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema na Węgrzech • Dodatek miesięcznika POLONIA WĘGERSKA, finansowany przez Fundację Mniejszości Narodowych i Etnicznych • ROK XVI (XXXIII), NR 70, wrzesień 2002 r. • Redaguje Kolegium pod kierunkiem Jerzego Królikowskiego • Red. graficzny: Krzysztof Ducki • Odpowiedzialny wydawca: Alicja Nagy – prezes Stowarzyszenia • Adres: 1051 Budapeszt, V. Nádor u. 34.II.p. 1 • Tel.: 311-0216, Tel./fax: 312-8204 • ISSN 1219-7998



Nowa książeczka o historii Kościoła Polskiego

zewewnętrznej. Mimo wielu starań wyłaniają się nowe pilne potrzeby, stąd apel ks. proboszcza wystosowany do naszych rodaków (zamieszczony w marcowym 68 numerze naszego pisma) o wsparcie finansowe kościoła, tym bardziej że od 2001 roku na mocy rozporządzenia Węgierskiego Urzędu Podatkowego (APEH) można dokonać odpisu podatku od dochodów osobistych w wysokości 30%, maksymalnie 50 tys. Ft od kwoty pieniężnej przeznaczonej na cele publiczne, a więc i na remont kościoła. Osoby zdecydowane ofiarować pieniądze na powyższy cel proszone są jedynie o podanie swego imienia i nazwiska, adresu zamieszkania i numeru podatkowego po to, by mogły otrzymać z Parafii zaświadczenie, będące podstawą do odpisu podatku w 2003 roku.

Mamy nadzieję, że sprawa naszego Polskiego Kościoła leży nam wszystkim głęboko na sercu i dlatego nie zabraknie ofiarodawców. Wszystkim im dziękujemy i składamy serdeczne Bóg zapłać.

KONTAKTY

Ogólnokrajowy Samorząd
Mniejszości Polskiej
na Węgrzech
1102 Budapeszt,
Állomás u. 10.
tel./fax: 261-1798

Stołeczny Samorząd
Mniejszości Polskiej
na Węgrzech
1054 Budapeszt,
Akadémia u. 1-3.
tel./fax: 302-5116

Polskie Stowarzyszenie
Kulturalne im. J. Bema
na Węgrzech
1051 Budapeszt, Nádor u. 34.
tel. 311-0216,
tel./fax: 312-8204

Polskie Stowarzyszenie
p.w. Św. Wojciecha
na Węgrzech
1103 Budapeszt, Óhegy u. 11.
tel./fax: 262-6908

Polska Parafia Personalna
na Węgrzech
1103 Budapeszt, Óhegy u. 11.
tel./fax: 262-5502

Ambasada Polska
1068 Budapeszt,
Városligeti fasor 16.
tel.: 351-1301

Wydział Konsularny
1068 Budapeszt,
Városligeti fasor 16.
tel./fax: 351-1725

Wydział Ekonomiczno Handlowy
1143 Budapeszt, Stefánia út 65.
tel./fax: 251-4677

Instytut Polski na Węgrzech
1065 Budapeszt,
Nagymező u. 15.
tel. 311-5856, fax: 331-0341

Szkoła Polska im. Sándora
Petőfiego przy Ambasadzie
R.P. 1025 Budapeszt,
Törökvez u. 15
tel.: 326-83-06